Cena 7 Zł.

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III | Łódź, 27 stycznia 1946 r. | Nr. 3 (31)

TADEUSZ PAPIER

Wielka ofenzywa

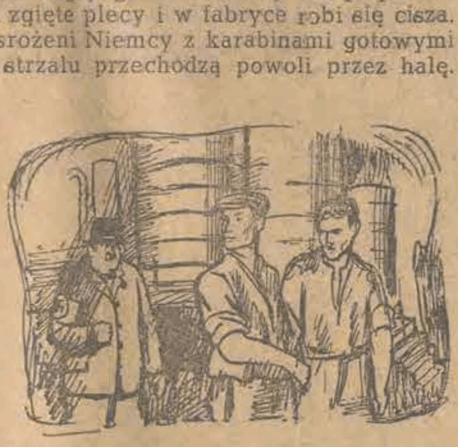
(w rocznicę ofenzywy radzieckiej na przyczółku sandomierskim)

„Wielka ofenzywa“ daje obraz pierwszego uderzenia sowieckiego, skierowanego z przyczółka sandomierskiego w styczniu 1945 r. Nazwiska i wydarzenia podane w opowiadaniu są autentyczne. Akcja rozgrywa się 50 km za pierwszą linią frontową, w Kazimierzy Wielkiej i Małej, powiatu pinczowskiego. Ten opis wydarzeń, widziany oczami chłopa w jednej ze wsi nadnidziańskich ukazuje jeden odcinek owego historycznego zdarzenia; odcinków takich było tysiące w momencie, gdy potężna armia radziecka wystąpiła do ostatecznej walki.

Nasze autentyczne opowiadanie przedstawia na wąskim terenie jakby skrót ofenzywy, która przyniosła nam wyzwolenie.

12 stycznia 1945

Wielka hala fabryczna jest przepełniona pracą i ciepłem. Przy kotłach, miernikach, dyfuzorach i wirówkach pracują napół rozebrani robotnicy: zebrani chłopi z Kazimierzy Wielkiej i Małej, ze Stradlic, Wojciechowa, Wymysłowa, Gabułtowa. Jednostajny warkot ciągnika głuszy od czasu do czasu nagły grzmot. Wtedy chłopi podnoszą zgięte plecy i w fabryce robi się cisza. Nasrożeni Niemcy z karabinami gotowymi do strzału przechodzą powoli przez halę.



rys. St. Cieloch

Wejście „Karola" grubego Niemca, komisarza, przywraca ludziom energię: Chłopi sypią szybko buraki do kotłów, inżynierowie sprawdzają analizy chemiczne, biały cukier odchodzi z wirówek. „Karol" jak śmierć znika w schodach prowadzących do hali maszyn. Z mroźnego dworu wbiega zdyszany Ryszard—z wieży fabrycznej widać łunę, tak, jakby się Wiślica paliła. Ten szept podawany od ucha do ucha przebiega wszystkie piętra fabryki. — Wiślica się pali — śmieje się całą twarzą Bronek. Stojący obok Niemiec nie rozumie tego śmiechu. Mietek Dyszewski mówi — dziś już po raz ostatni jestem w fabryce, jutro już mnie żadna siła nie zmusi do pracy.

— Żeby nas tylko nie wywieźli — troska się Stach Ćwiertnia.

Na dworze zmarznięci chłopi wyładowują z wagonów w dalszym ciągu buraki. Ciemne chmury przesłaniają księżyc, osłonięte od góry żarówki dają nikły blask. Rośnie coraz większa góra wytłoków. Od strony Nidy dochodzą przytłumione strzały. Przez Kazimierzę przewalają się żołnierskie wozy, auta osobowe, samochody ciężarowe pełne Ukraińców i Niemców. Przedranny świt odsłania ów nocny niepokój kaźmierzowskiej ulicy. Pod czujnym okiem żandarmów wchodzi dzienna zmiana do fabryki. Łąkami idą szybko rozgrzani chłopi do domów. Słuchaj, Stachu — mówi Mietek do Adamczyka, dzisiaj musimy uważać. Nas nie wywiozą do Niemiec! — Wolę tutaj zginąć, dalej już nie pójdę — odkrzykuje Ryszard, zbieg od frontu. — Co tam się u nas dzieje — dorzuca. — Busko może już wolne; ale kto z moich pozostał przy życiu?

Ostatni dzien

Tego dnia przez Kazimierzę Małą, Wojciechów, Kazimierzę Wielką przejeżdżają pędem pojedyńcze wozy i motocykle niemieckie. Szosa miechowska, jedyna szosa prowadząca na zachoód, jest zawalona pojazdami i grupami żołnierzy. Dookoła, bliżej lub dalej rozlegają się głuche detonacje. W Kazimierzy Wielkiej wciąż dymi komin cukrowni. Ludzie są zaskoczeni tą nagłą, a przecież spodziewaną chwilą ostatniej walki. Zdala na horyzoncie pokazują się trzy samoloty. — Sowieckie, sowieckie — krzyczą w Kazimierzy Małej chłopi. Samoloty zataczają coraz większe koła. Sodowa patrzy na te samoloty i na dym nad fabryką. Usta z trudem wymawiają słowa: — po co ten Józek poszedł do fabryki. Ale samoloty odchodzą spokojnie w kierunku Miechowa. Za chwilę jednak słychać świst: na łąki kimierzowskie pada pocisk. Potem drugi i trzeci. Znad Kazimierzy Wielkiej podnosi się słup dymu i przesłania niebo: to Niemcy podpalają młyn i magazyn żywnościowy. Czarny, gęsty dym wzbija się kłębami ku górze, ostateczny sygnał ucieczki i klęski. Pociski padają coraz częściej, ludzie nie wychodzą na dwór. Nad rzeką, padając co chwilę, biegną z Kazimierzy Wielkiej ostatni robotnicy z fabryki. — Uciekliśmy przez mur — powiada matce Józek Sodo — wcześniej nie można było, bo Niemcy pilnowali. Matka ściska głowę syna — wszyscy wrócili? Józef odpowiada — Kasprzyk nie żyje, pocisk urwał mu obie nogi.

Przed switem

Ziemia kazimierzowska jest teraz ziemią niczyją. Ostatnie oddziały niemieckie usadowiły się za rzeką, koło Wojciechowa i za Kazimierzą Wielką. Pociski armatnie rozrywają się nad Kazimierzą Małą i Wielką. Są to już pociski niemieckie. Z cmentarza bije urywanie karabin maszynowy. Na wzgórzu pod gruszą widać jakieś postacie. Nie wiadomo kto to jest — Niemcy czy Sowieci? Wielka piwnica szkolna w Kazimierzy Małej mieści w sobie pół wsi. Pod opiekę metrowej grubości murów oddali chłopi swe życie i mienie. Na tobołach siedzą kobiety z dziećmi i starzy chłopi. Mała lampka napełnia piwnicę migotliwym blaskiem. — Całe szczęście — mówi stary Falencki, że Niemcy biją szrapnelami. Tutaj nam nic złego nie zrobią. Co chwilę słychać suchy, przeraźliwy trzask rozrywających się pocisków. Wtedy ci, co są bliżej okienka, odsuwają się odruchowo. — Ta noc, to już ostatnia noc niewoli, mówi Dyszewski, kierownik szkoły. — W jakże szczęśliwszej jesteśmy sytuacji, niż ci za Buskiem, Chmielnikiem, Stopnicą. Ilu ludzi Niemcy stamtąd wybrali, ilu zabili, ile rodzin osieroconych. A co tam dziać się musiało podczas pierwszego natarcia! Tu odczuwamy zaledwie słaby podmuch burzy, która już przechodzi.

Ryszard słucha i patrzy niespokojnie na chłopów ćmiących papierosy — Słuchaj, Ryszardzie, ty się nie martw — mówi Zofia. — Tak źle może u was nie jest, jak my tu sobie wyobrażamy. Natarcie radzieckie musiało być gwałtowne i nagłe skoro w parę dni spowodowało tak wielkie zamieszanie na tak dalekich tyłach. Przecież z Kazimierzy do Buska a właściwie do Strzałkowa jest z 50 kilometrów. Silny i niespodziewany cios nie pozwolił Niemcom wyrządzić ludziom krzywd, musieli pamiętać o sobie...

I to racja — wtrąca stary Wiejacha. — Ty, Ryszard, się nie zasępiaj. Ofiary były, ofiary jeszcze będą — ale cieszę się! Ta ofensywa przyniesie nam jutro swobodę. I mnie się wydaje, że ta ofensywa będzie już ostatnią ofensywą *wojenną*.

— Przynajmniej w twoim życiu — zauważa Falencki.

— Nie tylko w moim, ale i w życiu mojego syna i w życiu twojej córki. Pomyśl tylko. Kogo ty nad ranem ujrzysz? kogo? I kogoś widział parę miesięcy temu z karabinem? Widziałeś nasze dzieci, jak urządzali powstanie pińczowskie, widziałeś chłopów. I nad ranem ujrzysz też chłopów. Że ci chłopi będą ubrani w mundury inne, to tylko potwierdza moją myśl o końcu wojen. Widzisz — brat brata ratuje...

— A może... zobaczymy też żołnierza polskiego — mówi cicho Maria. — Podobno polska dywizja tędy naciera.

Rozmowa cichnie. Szrapnele rwą się nad wsią. Z końca wsi, od strony Wojciechowa słychać gwałtowny ogień karabinów i działek przeciwpancernych. Górą, zdaleka, przytłumiony warkot samolotów. Kobiety zaczynają kolendę: „Bóg się rodzi". I kolenda cichnie. Ludzie nasłuchują nowych strzałów.

Zwyciestwo

Wśród nocy słychać nagle gwałtowne pukanie do drzwi. — Żeby nie Niemcy, żeby nie Niemcy — szepce cicho Ćwiertniowa. Dyszewski otwiera drzwi, z za obłoków zimnego powietrza pokazują się żołnierze radzieccy. Oczy bystro patrzą po ludziach. — Germańców u was nie ma? — pyta jeden po polsku. — Nie, odpowiadają chórem ludzie.

Drzwi są nadal otwarte i zimne, świeże powietrze wypełnia gwałtownie piwnicę. Strzały słychać coraz wyraźniej. Chłopi wstają i patrzą ciekawie na uśmiechniętych żołnierzy.

— No do rana wszystko tu się skończy — nie bójcie się, już po Niemcu! Bezpieczniej jednak dla was będzie pozostać jeszcze tutaj. Potrzebujemy tylko przewodnika. Kto na ochotnika? Pytanie rzucone na oślep, wgłąb piwnicy. — My wszyscy ochotnicy — zrywa się stary Wiejacha i od pycha młodszych, rwących się ku wyjściu.

Ta noc przynosi rozwiązanie. Ostatni opór niemiecki złamany. Słabe oddziały, niedobitki, które dotąd się jeszcze broniły, rozsypane w nieładzie, błąkają się po polach i otwierają ogień na siebie. Palą się domy gdzieś w Stradlicach. Niedaleko kościoła ciemnieje grupa ludzi. Stamtąd dochodzi jękliwy głos: Gott mit uns, Gott mit uns... Oficer sowiecki bada trzęsącego się Niemca.—Wszystko przepadło, wszystko straciliśmy. Ten atak był niespodziewany. Myśleliśmy, że długo będziecie się krwawić pod Stopnicą, zanim przyjdziecie tutaj. Niemiec jest „miejscowy", opowiada, jak szybko i chaotycznie uciekały z Kazimierzy Wielkiej na Miechów władze, starosta, komisarze, wojsko, Niemcy cywilni i ukraińcy. — Nawet swoich rzeczy nie zdążyli zabrać — dopowiada żałośnie.

— Miechów został wpierw zajęty, zanim Herr Landkomissar tam dojechał — wyjaśnia uprzejmie Niemcowi oficer sowiecki.

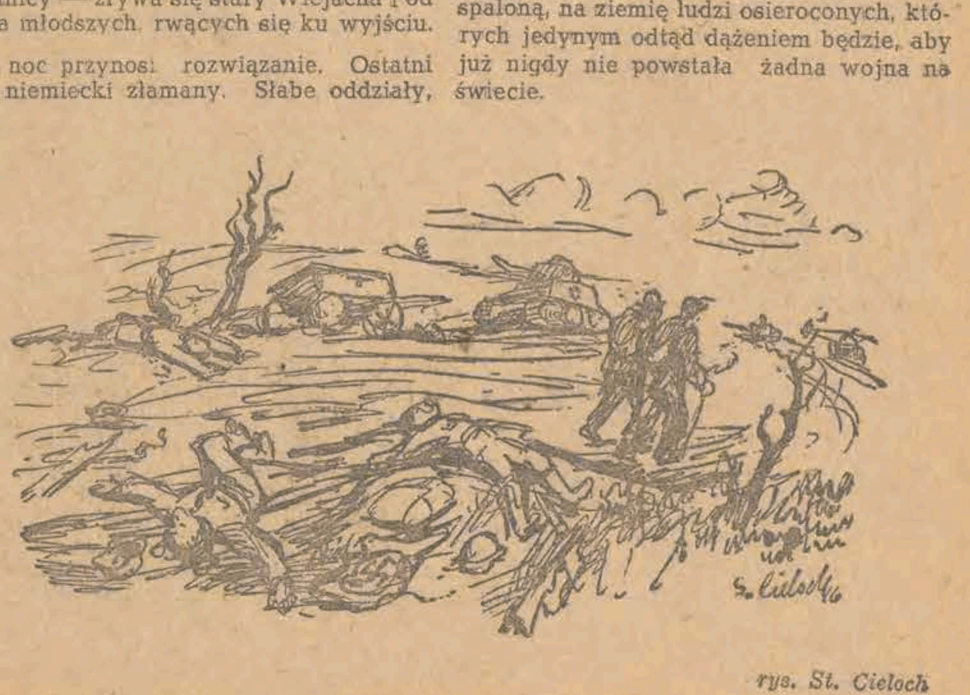
Niebo zwolna szarzeje, powoli odsłaniają się kontury wsi. Przed szkołę i plebanię wychodzą ludzie i nieśmiało spoglądaja na rodzący się nowy dzień.

Przysięga wolnosci

Nad ranem Kazimierza napełnia się nowym wojskiem. Z otaczających wzgórz, wsi bliższych i dalszych spływają czołgi, auta pancerne, samochody, armaty. Słychać mowę rosyjską i polską. „Na zachód, na zachód, na Berlin" głoszą napisy na armatach i czołgach.

Ryszard żegna tych, którzy dali mu schronienie przed wywozem do Niemiec, idzie do domu. Po drodze mija spalone czołgi i auta niemieckie, powywracane działa, porozrywane i porzucane bezładnie trupy niemieckich żołnierzy. Ryszard idzie na Koniecmosty, Wiślicę, Busko, wchodzi w niedawny pas frontowy, na teren gminy Szczytniki. Za chwilę znajdzie się w domu. Dowiaduje się szczegółów walki. Kilka godzin bezustannego ognia artyleryjskiego, kilka godzin prawdziwej ulewy pocisków wystarczyło, aby zniknęła na zawsze z tej ziemi przemoc, strach, głód i śmierć.

Za chwilę Ryszard wejdzie na ziemię zrytą pociskami, skrwawioną, zaminowaną, spaloną, na ziemię ludzi osieroconych, których jedynym odtąd dążeniem będzie, aby już nigdy nie powstała żadna wojna na świecie.



rys. St. Cieloch

JAN BOLESŁAW OŻÓG

MATKA

O matko, a ramiona twe jak srebrny ślub.
Dwie osiki nad nocą, która odpoczywa.
Ach, jakie sękate, znużone i krzywe
jak konar, chwyci w Swe ręce miłosierny Bóg.

Wieczny człowieczy ból...
koło nas, we mnie, w tobie..., długi żal...
Westchnął dom, wrota wzdychają, – w wiatr się wtul,
otwórz miedzianą sień.

Stąd jakby widziany przez kromkę placka świat:
dzwoni i ściska smutek świerszczy – i to wieś.
I to dom ojców i męża, który gdzieś...
Z tamtą... W Ameryce!.. Maryś!...

Nie pytajcie: „pisał?" Jeszcze we mnie jest i nie umiera.
Strząść tylko chustką rosy w sad,
jak łzy – i wieczór – i tylko który rośnie, który wierzy weń.

1.

W noc jeszcze przed świtem mruczenie żaren.
Śpisz, synu, i nie wiesz, jak daleko
pod dzień jak pod górę kamienistą iść.
Dla ciebie zapalam w piecu, codzień chrust znoszę, barszcz zacieram
i dla ciebie do miasta, do „szkól" ta odrobina masła i mleka.

To nic, żem bledsza już, synu,
a w oczach słupki fiołków nie świecą dawnym żarem.

Jedz i rośnij i ucz się. Bylebyś ty miał chleba,
bylebyś ty nie zginął.
Nasza nędza
nie dla ciebie.

I zawsze za krową, za koniem, u żaren i ze sierpem na dolinie,
i zawsze roboty za dużo, a ręka wiotka jak liść.

Ale Jaś się uczy, Jaś rośnie na księdza...

Więc nocą przy lampie, gdy śnieg za ścianą i śmiech rudego lisa –
tęskne oczekiwanie.
Na co?... Może list?... Jaś... Czy śpi już, śpi już błogo?...

Ach tu... Coś się stało... Wołanie?
Cs!... Cóż tam mróz na szybie napisał?
I czy to dom po nocy płacze? Kapią łzy na zeszyt podłogi.

2.

Matko biedna, matko stroskana, brzozowe włosy twoje siwe śpiewa wiatr.
I „cenzus" syna po szkołach nie cieszy, choć wszystko ma „dobrze".
W papier wsiąkł jak życie w bruzdy, piach i znój ten blady orzeł –
taki papierek spod krzyża ciężkich ośmiu lat!

Książki z kuferka chlebem pachniały jeszcze jak wino,
sikorki z zapaski w szeleście niebogi wierzby – wdowy...
Syn wiedy rzucił Boga, – ostały konie, ostało pole i dolina,
na darmo wrzosem srebrzystym zakwitła moja głowa.

Zagasły marzenia, szkaplerze; płomykiem dopala się świeca –
i żal jak te skrzypce od łez wypłakanych.
I bańka mleka ostatnia, na niebie nad ranem.
Komu ja dam?... Szloch. Niżej ku ziemi, nachylone plecy!

Płaczcie mię, wierne siostry – osiki,
wszyscy mię opuścili, Bóg mi pomóc
nie może. Dalekie, dalekie zorze – bol przenika –
gdzie mąż, gdzie ojciec, gdzie syn, odstępca niewidomy!...

3.

To ja tę piszę szarugę, szemrzącą wiekuiście,
wiersze, od których jesień musi iść.
Przebacz mi, matko, twoje znojne dni,
ręce w płomykach mrozu i powiędłe liście.

Nie każdy umie „requiem" śpiewać u ołtarza,
są wielkie inne drzewa, rozłożyste cienie
kto inny w naszej kaplicy niech złotą wznosi patenę,
już nie pamiętaj, w wigilię słodkiego ułam opłatka –
żegnaj mię smugą smutnych wierzb u wsi,
o moja matko!

4.

I tego wołałem, wołałem –
wszelkie życie!
U tego lasy grały, oj grały...

i w pióropuszu okien trzmiel
i w wrotach drzew
zamieszkały słowiczy trel...

i fiołki oczu bratowych
bolących jak dymy
waszych ognisk domowych...

Strumienie pokłute od mięty
wybrałem i igieł,
rosę – sierotkę w dzwoneczkach jętek.

Zgryzły mię zanurzone w łące
troski Hiobowe,
wyklęły lilie wierzące...

Wiatr z siwych oczu dali
wycisnął wielką łzę
Maryi z Magdali.

5.

Jętki lecą, piórka lecą
siwe, czerwone, lipowe:
na rolę i kabza
i wieczór.

A pod twoje smutne oczy
jak się ta ziemia dowlecze?
Najcichsza moja.

Nad latem z łez twych duma wóz,
zmierzch na kołach toczy:
Boże, już
Ty do pługa nas prowadź
i nie opuść!

O miedze wrotyczane,
o pługi na klęczkach w oparach ziemi jak słodkich!

Pełen jest łaski bosej stopy
ten wieczór.

A trzmielem tylko grać,
a w ciszy tylko ci poganiać
konie
żalu.
W opłotkach
rzewnych wspomnień
zaniósł się twój płacz.

Ziemią przywalony dzień bez syna, bez ojca!
Jedyne prawo: pług samotny.

6. *Tylko pióro wziąć*

Ciągle, ciągle wzrok zamglony,
z oczu zapatrzenia toń –
w którekolwiek ciągniesz strony,
chroń się, chroń.

Powiedz, jesteś chmyz, czy morus,
ciągle straszy czarny koń
i cmentarno - leśna woń
i grecki chorus.

Ale jest gdzieś dom bielony
i kochana włość,
cisza, potem mrok czerwony –
tylko pióro wziąć, już dość.

Ściśnij serce w rękach zimnych:
„kogut" -- Bryś swą gryzie kość,
u podokni dymnych
gość nasz! gość!

Tylko stąpnij przez uwrocie,
powita cię miękki wrzask,
łapa psia na starym płocie,
oczu [illegible]ki dziwny blask.

Tylko pióro weź na rękę –
progi krzyczą – jesteś nasz!
Janku drogi, winę zmaż,
skróć swą mękę!

Matrwisz, żalisz się i trapisz –
wspomnę i przebaczę ci,
jeszcze miłość w ogniu tli.
tylko pióro weź i napisz!

Woła czarodziejski dzbanek,
obiecuje wiele mi –
Janek, Janek,
napisz, ach napisz!

ANNA KAMIEŃSKA

Głosy pisarzy

W sprawie poezji

(w związku z artykułem J. Przybosia o pisarstwie ludowym)

„W sprawie pisarstwa ludowego" wypowiedział się Julian Przyboś w artykule pod tym tytułem w numerze 55 „Odrodzenia".

Postawę „Wsi" w stosunku do prozy przeciwstawił mu J. A. Król w „Gawędzie wigilijnej pisarza". Gromadzenie i rozszerzanie prozy materiałowej typu „Pamiętników chłopów" zbacza od celu sformułowanego w zdaniu: „podnieść kulturę ludową do kultury narodowej".

Poniższa wypowiedź w sprawie poezji rozumie inaczej, niż Przyboś potrzebę literatury ludowej, ocenę i funkcję poezji w jej ramach.

*

Poetyka horacjańska, którą posługuje się w teoretycznych rozważaniach Julian Przyboś ujmuje poezję jako doskonałe ukształtowanie, sztywne i bezwzględne z powodu swej doskonałości.

Poeta „jeśli choć o krok zejdzie ze szczytu, znaczy, że stoczył się w doły". (Horacy). Nie można być miernym poetą. Można być nim, lub nie być. Tak kategorycznie postawione założenie prowadzi do wniosku: „chłop współczesny, poza zanikającymi wyjątkami anonimowych układaczy śpiewek w rodzaju Stopczyka, w poezji wypowiedzieć się nie potrafi". Rodzaj Stopczyka zaś dlatego dosięga poetyckiego szczytu, że dzięki prymitywizmowi swego przeżywania trafia w jakieś sedno poezji, w jej zasadę, którą jest odczuwanie „rzeczy doznanej wszechstronnie jako kres i zarazem początek". Tak jeśli poeta ma przed sobą tylko dylemat: być albo nie być — bez żadnych stanowisk środkowych, to BYĆ znaczy — posiąść szczyt estetycznej wartości i łaskę doznawania poezji samej w sobie, NIE BYĆ zaś jest godną litości, daremną wspinaczką niedołęstwa.

Ogólność tych definicji zalicza je do metafizyki, wyklucza z poetyki pojętej jako nauka o języku poetyckim, tworze żywym, wplecionym w język społeczny i kulturalnie aktualny.

W świątecznym numerze „Tygodnik Powszechny" drukuje kolumnę wierszy zmarłego młodo Krzysztofa Baczyńskiego. Jest to typowy przedstawiciel młodzieży inteligenckiej, poezji inteligenckiej w znaczeniu przeciwstawionym pisarstwu ludowemu, jakiego oczekujemy. Każda zwrotka tych wierszy kulturalnych poetycko, posługujących się nowoczesnymi środkami stylistycznymi jest pozbawiona cnoty realności, najprostszego poczucia rzeczy.

„O mój ty smutku cichy,
smutku gwiazdek maleńkich
nazywałem, szukałem,
brałem ciebie do ręki".

Nie jest to zła poezja, ale jest to aniołowy twór młodzieży inteligenckiej, objaw jej sprzeczności kulturalnej ze spodziewaną i wymaganą kulturą ludową. Jest to idealistyczny typ stosunku do świata, wrogi sformułowanemu kiedyś w deklaracji na 1-ym zjeździe wiciowym w Lublinie typowi kultury racjonalistycznej, chłopskiej. Baczyński jest głęboki, według terminologii z jego strony, Ozga jest prostacki, Stefania Rudnicka jest prymitywna. To prawda. A jednak uzasadnienie nowych wysiłków poezji ludowej przyniesie nam przyszłość, gdy inteligencka zachowuje jedynie poziom estetyczny, a rewolucyjna umie być tylko w przezwyciężaniu konwenansu formalnego, wyzwala się tylko indywidualnie przez oryginalność środków wyrazu.

Jeśli pisarstwo ludowe ma być językiem zawodowym klasy chłopskiej, należałoby rozpędzić na wiatry Oddział Wiejski Zw. Zaw. Lit. Pol., — pisarzy, którzy „tyle tylko mają wspólnego z chłopem, że z chłopów pochodzą". (Przyboś).

Lecz pisarstwo ludowe nie jest fazą w dążeniu do estetycznego szczytu. Jest POSTULATEM sensownej, realistycznej kultury narodowej.

Jeśli nie wierzymy, jak Przyboś w „dalszy ciąg", „rozwój" poezji ludowej, bo uczona zatraciwszy urok prymitywu przestaje być poezją — chcemy, aby chłopscy pisarze nam, poetom wątpiącym w sens naszej sztuki poszukującym nowych zasad, dostarczyli bodźców świeżości, domagamy się surowców i półfabrykatów, z których może w skomplikowanych aparatach techniki poetyckiej innych niechłopskich twórców wywarzą się dzieła.

Młodzież poetycka typu Baczyńskiego zdołała zdobyć pewien styl indywidualny, lecz nie nadążyła za „postępem społecznym poezji", bo ten jest związkiem indywidualnego języka z cywilizacyjnym językiem epoki. Poprzez ten związek poezja schodzi ze szczytnego piedestału i staje się użytkową. Przestaje być ważne, jaki uzyskuje poziom estetyczny — krytyka bada jej funkcjonujący aparat: poznawczy i opisowy i odnosi go do rzeczywistości.

Jest tak, jakby uważne śledzenie obrazu świata, zmarszczek jego i fałd należało do zadań poznawczych poezji, jakby treścią tej roboty było wykrywanie „tajemnych" związków między rzeczami.

W poemacie Wergiliusza o rolnictwie „zabłysł pług otarty przez glebę". Zabłysł pług — oznacza, że rolnik wyszedł z pługiem i zaczął wiosenną orkę. Błysk lemiesza nie jest ważniejszy od samego orania, lecz oznacza on jeszcze całą wagę pracy. Oto poezja w związku między iskierką światła na żelazie, a ludzką funkcją cywilizacyjną.

Jednym z przejawów racjonalizmu w sztuce ludowej jest rozmyślne psucie iluzji, podkreślanie sztuczności układu, konstrukcji, ornamentu. Widoczne to w muzyce, gdzie czasem zapamiętałe zawodzenie przerywa nagły i skoczny motyw, utrącający nastrój poprzedni, w sztuce plastycznej tak pełnej rytmu, rysującej piersi świątków pasyjnych w symetryczne ornamenty żeber, w tekstach pieśni z ich stroficznością, refrenami, powtórzeniami podkreślającymi, że to „sztuka", robota, dzieło ludzkie, coś antynaturalnego. Ta sztywność ma dla nas urok, ale pochodzi ona z niedołęstwa i niedoskonałości narzędzi. Układacz piosenki i snycerz wiejski wbrew temu, co pisze Julian Przyboś, tworzą tyle, ile muszą, ile umieją. Naturalność i tak zwana prostota wcale nie należą do cech prymitywnej sztuki ludowej. Ale nie zawsze jest to wynik niedoskonałości technicznej, czasem jest to efekt zamierzony, płynący z przeświadczenia o koniecznej regularności sztuki, ze świadomości rygoru twórczego ładu.

Tak więc dla poezji ludowej cechami typowymi są: właśnie konwencja, retoryczność i tak przez Przybosia potępiana antynaturalna ozdobność.

I te także szlachetne tendencje kultura ludowa może i powinna „podnieść do narodowej". Ale dotychczas jest to tylko cecha zapóźnienia, niedoskonałości, nierozwoju. I próbować ją zatrzymać — to znaczy hamować siłę, która szuka dróg racjonalnego, nowoczesnego, koniecznego postępu.

TADEUSZ BYRSKI

„Syzyfowe prace..."

czyli — jak to było z Instytutem Artystycznym w Kazimierzu

W sierpniu i we wrześniu w wielu pismach pojawiło się ogłoszenie o „Instytucie Artystycznym", który rozpoczyna naukę w Kazimierzu nad Wisłą. Kurs, na poziomie licealnym, trwa dwa lata: Instytut przygotowuje przyszłych dzia łaczy, instruktorów i reżyserów teatru ludowego założyciel szkoły, T. Byrski, i jego żona, ludzie sceny, pedagogowie, społecznicy, planowali tę placówkę kształceniową już przed wojną, przygotowali jej plan pracy, kosztorys, opracowali system nauczania. Udało się wreszcie, po wojnie, z pomocą Ministerstwa Kultury, założyć INSTYTUT. I oto, po pięciu miesiącach, jak wygląda rezultat w oświetleniu założyciela i kierownika...

MIEJSCOWOŚĆ, W KTÓREJ GORYCZ ZNIKA.

„Kiedy jestem w Kazimierzu, nie szukam goryczy"; chciałoby się sparafrazować powiedzonko o Wilnie. Nie szukamy goryczy. Wisła ma barwę jedyną i wyjątkową; niebo wygrywa chmurkami bogate opowieści o gonitwach, to znów zastyga w bezruchu barokowych ornamentów, jakby z kościoła św. Bartłomieja. Zbocza gór grały na jesieni kolorami żółtymi, tak drobiazgowo różnymi, że trudno byłoby ich szukać w palecie współczesnego malarza. To nastraja kontemplacyjnie. Dlaczego tu jestem? Skąd naraz w Kazimierzu, skoro życie idzie już normalnym torem? Czasy „siłaczek" Żeromskiego chyba nie wrócą? Byłby to dowód, że styl życia zmienić, to nie znaczy stracić niepodległość, a potem ją odzyskać; to nie znaczy parę milionów zabitych, a inne miliony maltretowane obcym butem i pałką. Bo okazuje się, że Żeromski — artysta zestarzał się, stał się nam odległy, a Żeromski projektodawca społecznego budowania życia, jest wymowny i wyzywający, może bardziej niż kiedyś.

PRAWDA O ODBUDOWIE KULTURY.

Jesteśmy zrujnowani jako społeczność. Zbyteczne analizować tę sprawę. Trzeba się odbudowywać. Ale to trudniejsze; tutaj BOS'y nie pomogą. Bo trzeba sobie zdać sprawę, co zrobiła wojna, okupacja, bieda, a co leży oddawna w naszym charakterze, co można byłoby właśnie teraz poprawić. Kiedy przeglądam prace specjalne z dziedziny urbanistyki, uderza mnie akcent dziwnej radości, że Warszawa jest tak zniszczona. Każdy z piszących na ten temat roni łezkę dosyć lakoniczną po tamtej Warszawie i zabiera się z żywością do projektowania nowej. Jak dobrze, że to zniszczone; przecież strasznie przeszkadzało, a tamto znów psuło powietrze, a ta ulica, jak na główną magistralę była grubo za wąska; teraz się zrobi jak należy...

Może i nam, pracującym w dziedzinie kultury artystycznej wypada tak się... ucieszyć? Od czasu, gdy zamieszkałem w Wilnie i przesiedziałem tam osiem lat, stałem się zwolennikiem rozszerzania granic Polski poza Otwock i Milanówek. Starałem się przekonać wielbicieli zamkniętego życia wielkomiejskiego, że lekceważenie zapasów energii ludzkiej, jakie mieszczą się na wsi, w małych miastach i miasteczkach, może doprowadzić do katastrofy.

DLACZEGO WIĘC PROJEKTOWALIŚMY... KAZIMIERZ?

Zagadnienie kultury teatralnej staje na czele zagadnień tego typu. Pisano już na ten temat wiele na łamach tego pisma. Projekty stworzenia solidnie przygotowanych ludzi, którzyby czuwali nad życiem artystycznym, a teatralnym w szczególności, na prowincji, spotkały się przed wojną z oceną nieprzychylną. Nie, fałszuję fakty! — z entuzjazmem ale... nie do zrealizowania, w hierarchii potrzeb państwowych — kolejka długa. Szkolenie solidne — musi poczekać. Tymczasem, robimy kursy sześciotygodniowe, 3-miesięczne — ot, to tymczasem musi wystarczyć. Schowaliśmy projekt do biurka. Podczas wojny nagabywano nas o niego raz po raz. Było nawet sporo konferencji i narad. Ustalono budżety i nieomal kolor mebli, żeby w momencie odpowiednim — n i e podjąć tej sprawy.

A myśmy się „ucieszyli", że wojna zdewastowała życie teatralne. To żeśmy wszyscy, którzy mamy jakie takie poczucie uczciwości, trzymali się zdala od teatrów za Niemców, to nam dawało teraz do ręki, zdawało się, świeży argument — zaczniemy pracę od podstaw. Odrazu postaram się zaskoczyć opinię faktem dokonanym, że prowincja ma równe prawa. Niezawodnie powołane będą do życia placówki teatralne o mocnych podstawach artystycznych; z drugiej strony weźmiemy się do szkolenia instruktorów, którzy potem pójdą w teren, będą przygotowywaś krytyczną i zdrowo myślącą widownię teatralną i świadome artystycznych potrzeb środowisko.

I stąd Kazimierz nad Wisłą, stąd „radość", że tyle do odbudowania, stąd aktualność żeromszczyzny, a nawet pozytywistycznej „pracy od podstaw".

„ROMANTYCY".

Ale... jak to mówił jeden z oficerów w podchorążówce artylerii do podchorążego, który zleciał z konia: „panie R. — pan jest też romantyk!". — Byliśmy romantykami! Łatwiej zwalić domy warszawskie, spalić całe dzielnice, niż zniszczyć przyzwyczajenia. — Łatwiej zmienić ustrój w państwie dokonać reformy rolnej, niż oduczyć szablonowego, tandetnego myślenia o sztuce.

Jasne jest, że życie na prowincji, szczególnie prowincji odległej, oddalonej od stacji kolejowej, nie należy do łatwych. Dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek. Np. władze bezpieczeństwa w Kazimierzu, niezupełnie odpowiednie, nie tylko, że nie bronią przed ekscesami łobuzerii, ale krzywdzą spokojnych i pozytywnie pracujących obywateli. Z drugiej strony — brudne odpryski wczorajszego życia podziemnego wykorzystując nalepkę, uprawiają zwykły bandytyzm. A naokoło społeczeństwo w niemałej części złożone z szabrowników i wszelkiego rodzaju tałatajstwa; w najlepszym wypadku doskonała bierność.

Trzeba ten przekładaniec ruszyć, poprawić, dobrać się do wnętrza i dobrze potrząsnąć. Jakiej to trzeba siły, żeby temu nie ulec, żeby się nie zniechęcić...

DLACZEGO KURS DWULETNI?

Jesteśmy za biedni na to, żebyśmy sobie mogli pozwolić na fastrygę. Nas nie stać na szkolenie „tymczasowe". Przecież musi być różnica między prowadzeniem samochodu, a formowaniem życia kulturalnego! Stąd idea szkoły instruktorów z kursem 2-letnim, na poziomie licealnym. Szkoły prowadzonej internatowo. Szkoły prowadzonej właśnie zdala od wielkich środowisk miejskich, w trudnych warunkach komunikacyjnych i w środowisku też nie najłatwiejszym. A zdawało się właśnie, że w tym Kazimierzu, tak pięknym, że aż czasami banalnym, gdzie wszelka gorycz odpaść powinna od człowieka, znajdziemy najszerszy oddźwięk.

A TERAZ: JAK WYGLĄDA PRAKTYKA?

Przewidywaliśmy wiele trudności, liczyliśmy się z przeszkodami materialnymi, ale nie postało nam w głowie, że nie będzie uczniów.

Ani jedna instytucja w Polsce nie skierowała do nas ucznia. Pomimo, że warunki ustaliliśmy bardzo przystępne, niżej kosztów własnych (900 zł. miesięcznie za wszystko). Rozesłaliśmy około 200 komunikatów bardzo obszernych do Instytucji, Redakcji, Stowarzyszeń, Urzędów, prawie każdy z listem prywatnym do kogoś z zaprzyjaźnionych ludzi. Przecież przyjaciele zapewniali nas, że na taką instytucję po prostu czekają. W przeciwnym razie, nie wiem czy zdecydowalibyśmy się jechać na to odludzie i cywilizacyjne i kulturalne. *Żadnego echa.* Nawet listu. Nic. Cisza. Lubelszczyzna także milczy jak zaklęta.

Brak uczniów (przyjechało tylko *dwoje* na podstawie komunikatu radiowego) stawia naszą szkołę w dziwnym świetle. Co oni tu robią? I stąd widocznie zaczęła się na nas nagonka; nagonka ta idzie, jak to na prowincji, pocztą pantoflową.

Pomimo, że absolutnie nie uprawiamy żadnej propagandy politycznej że wszystkie nasze wysiłki stawiamy na płaszczyźnie przede wszystkim polskiej, jakieś elementy judzą przeciw nam. A to że Żydzi, że propaganda, ba nawet — „resort" (!?). Nie czekając na zwiększenie się liczby uczniów, zorganizowaliśmy koło miejscowej młodzieży. Zrobiliśmy uroczysty Apel Poległych, wciągając w to całe miasto. Wypadło wszystko okazale, pomimo, że bardzo bano się represji — bo już dwukrotnie w lecie, podczas uroczystości zorganizowanych na polecenie władz (np. Święto Morza) przyjechał posterunek milicji i pozabierał masę ludzi. Tak tu ludzie są ściśnięci pomiędzy nieodpowiedzialne władze bezpieczeństwa i nieodpowiedzialne elementy quasi-patriotyczne. Sytuacja naprawdę tragiczna.

No, ale uroczystość, o której piszę, odbyła się bez przeszkód. Potem urządziliśmy w naszym lokalu wieczór literacki 11-go listopada. Też było tłumnie, gwarno, wszyscy bardzo dziękowali.

Ale cóż? Zaczynają bruzdzić, przeszkadzać, nie spodobał im się uczeń, który przyjechał, dlatego, że brunet t.p. Zaczęli odciągać młodzież, grozić wybiciem szyb i t.p.

Trzeba było robotę przerwać. Kandydat na słuchacza (drugi) wyjechał, bo się bał, że go spotka jakaś grubsza nieprzyjemność. Wróciliśmy więc do cyfry z poprzedniego miesiąca — t.j. — do jednej uczennicy; to b. przyjemny typ — energiczna dzielna, młoda dziewczyna, która oświadczyła, że dopóki my wytrwamy, to i ona wytrwa. No i trwamy. Z tą jedną uczennicą rozpoczynamy oficjalnie rok szkolny, o ile nie zajdą jakieś przeszkody. Bośmy przeżyli już dwa napady i bardzo boję się o dzieci, że to odbije się na ich nerwach. A przecież mamy już za sobą 5 lat Warszawy.

Tak się przedstawia Okop Św. Trójcy teatralny nad Wisłą. Pustynia zupełna. Jeżeli pójdzie tak dalej — nie będzie się po co schylić. Trzeba by ten teren otoczyć opieką, dać jakieś sensowne władze bezpieczeństwa, które wytępią bandytyzm. Więcej uwagi Ministerstwa. Odbudować. Dawać na prawdę dobre warunki. Dotychczas np. jesteśmy bez instrumentu. A na przydział, tośmy dostali 100 pudełek zapałek i 10 kg. bielidła. Tragifarsa!

TO, CO SIĘ MÓWI I TO CO SIĘ ROBI!...

Dlaczego u nas tyle się mówi na pewne tematy, a jak przyjdzie co do czego, to martwa cisza. Dlaczego tyle słów wygadanych i usłyszanych mamy poza sobą, żeby się dowiedzieć w końcu, że chcieć tworzyć coś na długą metę — to donkiszoteria. Nie chcesz być w centrum, jesteś uważany za wariata, albo za specjalnego kombinatora, a w oczach prowincjonalistów za wybitnie podejrzanego. A tymczasem żadna instytucja, żadna organizacja uczniów nie skierowała. Pomimo, że nawet teraz mam możność i w Warszawie i w Łodzi wiele nasłuchać się lamentowań z powodu braku odpowiednio wyszkolonych instruktorów. Jest w tym wszystkim jakiś brak przytomności umysłu, albo co gorsza zdanie się na los: jakoś to będzie.

„DLA NAS MOŻECIE PAŃSTWO WYJECHAĆ".

Więc najpierw bandziory okoliczne próbują ograbić. Potem znów coś w rodzaju rekwizycji przez t. zw. „lasowych"; ale to dzisiaj tytuł „honoris causae", bo w rzeczywistości ci leśni na ogół wygodnie śpią pod pierzyną. Kiedy mi zabierano maszynę do pisania, jakoby dla jakiegoś „sztabu" (mam pewne podejrzenie, że przetworzono ją po prostu na bimber!) żona moja powiedziała do mnie: wiesz, chyba trzeba będzie mimo wszystko stąd wyjechać. Nasz „gość"—powiedział: „dla nas możecie państwo wyjechać choćby dzisiaj — nam wszystko jedno". Że im jest wszystko jedno, to smutne, ale że tym innym, którym sprawa *człowieka* na prowincji powinna być droga, też jest wszystko jedno — to groźne. I znów słyszymy od wysokiego urzędnika, jak za dawnych przedwrześniowych lat — „no moi Państwo, w drabinie potrzeb, rozumiecie, nie można zbyt dużo uwagi poświęcić sprawom kultury na głuchej prowincji". Chcemy przerwać tę ciszę mimo wszystko! Jakim echem rozeszła się po kraju katastrofa przy budowie mostu Poniatowskiego! Trzeba umieć słuchać. Takie olbrzymie przęsła walą się raz po raz, tylko, że trudniej je dostrzec, a przygnieceni zwalonym żelastwem sami nie zdają sobie sprawy z ran, które odnoszą.

JEDNAK : NIGDY „KURS" TYLKO : SZKOŁA!

Wszelkiego rodzaju przyśpieszone kursy są dobre tam, gdzie jest zadanie włożenia do głowy pewnej określonej sumy wiedzy. Ale nie można w ciągu paru tygodni wychować człowieka. Kto mówi, że to możliwe — kłamie!

Rzecz prosta — jeżeli ideałem naszego zbiorowego życia artystycznego — mają być jedynie dożynki w Spale, to wszystko w porządku. Ale przecież gdy się czyta gazety, to można wyciągnąć wniosek, że tam to się skończyło! Ale nie ze wszystkim, Panowie! Nie ze wszystkim!

Dyskusja — „kto jest chłopem"

„Złoty piasek jego rzeki"

Oto fragment z listu, jaki otrzymaliśmy od młodej dziennikarki, inżyniera-rolnika:

„Wieś" ma swój ustalony charakter, jednolity styl i formę i wydaje mi się, że gdybym ja weszła ze swoimi rzeczami do Was, czułabym się jak chłop w butach z cholewami we francuskim salonie.

Kiedyś mi koleżanka, na widok mojej cudownej, nowoczesnej łazienki, z której byłam niezmiernie dumna, powiedziała: „Mój Boże, w takiej rynnie musi się człowiek kąpać! Jednak rzeki wsi, złotego piasku i zielonej trawy, na której można się do słońca wytarzać, nic nie zastąpi". Otóż — przepraszam — ale Wasza „Wieś" to właśnie taka nowoczesna wanna. Chłop może ją będzie podziwiał, ale to nie „złoty piasek jego rzeki".

Gdyby było dużo pism tego rodzaju chłopskich, moglibyście sobie na taką „Wieś" pozwolić. Według mnie, przez utrzymanie salonowego poziomu intelektualistów wiejskich, robicie krzywdę chłopom. Co chłop może wynieść po przeczytaniu Waszego pisma? Chyba, że specjalnie chcecie je wydawać tylko dla tych, którzy już zapomnieli o rzece i kąpią się tylko w wannach? A wtedy, tymbardziej twierdzę, że jest to z krzywda dla chłopa".

W tym znaczeniu, w jakim „nic nie zastąpi złotego piasku rzeki" — nic również — koleżanko— nie zastąpi wanny, czy też łaźni.

Dwa różne układy, dwa różne przeżycia. — Ale gdyby tak u nas na wsi chciały być wszędzie pod ręką rzeki ze złotym piaskiem oraz nieschodzące z nieba lipcowe słońce, Tybyś — Koleżanko — nie potrzebowała skolei być i n ż y n i e r e m.

Że jest inaczej, to powiedz — inżynierze — przydałaby się w każdej wsi łaźnia? Prawda? Ale na to trzeba — powiadasz — zamożności! A ta skąd przyjdzie, jeśli nie z wydajniejszej pracy, a ta skąd, jeśli nie z przekonania chłopów do wyższej rolniczej i poza - rolniczej wiedzy, do nowych narzędzi pracy rolnej, nowych urządzeń technicznych, nowych form organizacji i samopomocy?

A jak sobie wyobrażasz — Inżynierze? Jeśliś Ty lat kilkanaście uczyła się, żeby w rezultacie chłopu zalecać „rzekę z piaskiem", to ile lat on potrzebuje, aby dojść do nieodzownej łaźni?

Wiem, w jakiej Ty pisujesz gazecie. Tam dobrze chcą, ale mylą się w metodach, uważając, „że wystarczy nalepić afisz, zwołać wiec, zorganizować pochód, aby zmienić zasadniczo postawę człowieka".

Nasze metody są inne. Pisałem już kiedyś, dla kogo jest „Wieś" — nie dla wszystkich chłopów, bo nawet Twoja gazeta popularna — dociera do 30 tysięcy, a z 20 milionów chłopów czytuje wogóle... 300 — 500 tysięcy. To, coś Ty mogła zdobyć w ciągu 12 lat regularnej nauki i studiów może i chłopi w tym czasie zdobędą, ale nie inaczej, jak kiedy my będziemy służyć „Wsią" rosnącej inteligencji chłopskiej, ona spopularyzuje nasze wspólne myśli, projekty i bodźce w szerszym kręgu mniej zainteresowanych i oświeconych, tamci skolei w jeszcze szerszym „aż ideał — jak pisał poeta — sięgnie bruku". Co nie znaczy, aby to zadanie przez nas wyłącznie było i miało być spełnione. Równocześnie na wszystkich poziomach i we wszystkich zakresach wieś, jeśli nie jest, to powinna być wiedzą i kulturą zaspakajaną. To też różne pisma do różnych kręgów apelują. Działają ponadto szkoły, związki, styczności w pracy, handlu itd.

My służymy inteligencji chłopskiej, która jest i wzrasta i nie powinna od wsi odpaść, bo jest jej ramieniem, które dźwignie ją w historię nowych czasów.

Co bym Ci powiedział na zakończenie? Ot, mam kłopot. Nie jestem inżynierem-rolnikiem, a czytam w tyg. „Dziś i jutro" trudny a ważny artykuł p. t. „Reforma szkolna a wieś".— *Mówi on o projekcie rolniczego kształcenia. Czytam tu: „potrzeba gruntownego pogłębienia poziomu, do czego dążyć należy obostrzeniem i poszerzeniem czaso-kresu nauczania, a nie skracaniem i uogólnianiem". Artykuł ten przeraża mnie, bo bije na alarm — brak jest fachowego nauczycielstwa, a równocześnie stwierdza się masową ucieczkę od stanu nauczycielskiego!!!*

Cóż Ty na to, inżynierze - rolniku? Przeczytaj ten artykuł i napisz do nas, to będzie akurat dla tych kandydatów - uciekinierów. Ich właśnie przekonaj, nie „chłopa". Bo to ich ucieczka dopiero chłopu zaszkodzi, nie on sam sobie. A kiedy napiszesz przekonywująco *— to chyba spotkamy się również i na tym samym poziomie intelektualistów wiejskich. Ale przed tym proszę Cię — wyjdź z salonów, gdzie wiszą landszafty, na których „złoty piasek jego rzeki".*

J. A. KRÓL

W następnym numerze:

POWRÓT LEONA SCHILLERA.

Znakomity polski inscenizator wypowiada się o zadaniach teatru polskiego, o kształceniu reżyserów i planach sceny ludowej.

STANISŁAW TELEGA

WYPRAWA

Wyjątek z powieści p. t. „Ósma rano"

Nad ranem obudził ich chłód i pierwsza jasność, bielejącego w mgłach i rosie, świtu. Głodni i obolali z niewygodnego leżenia zwlekali się ze swoich miejsc i ruszyli naprzód, kierując się na północ, w stronę Zaczernia. Po drodze napotkali na mały stawek, gdzie umyli się i wykąpali. Wkrótce las się ku ich zdumieniu skończył i z daleka ujrzeli chałupy dźwigające się z siwych mgieł.

— No kumie Kuciela... — zażartował — wieś jest, kamienie przygotowane, brak tylko dwóch idiotów do ukamieniowania, więc chodźmy...

— Nie bój się, jakoś to będzie... zapytamy się o mliko, chlib, trza najpierw coś zjeść... a potem ostrożnie trza się wywiedzieć, gdzie jest główno kwatera rewolucyjno...

— Idź, ty głupi! Żeby nas znowu wzięli za szpiegów! Ani się waż pytać!... O kwatere sie bedzie pytał!... walimy prosto do Zaczernia i skończona sprawa...

Na skraju lasu zatrzymali się jeszcze, aż słońce wstanie wyżej i we wsi zacznie się jakiś ruch. Usiedli więc i natychmiast ucięli sobie porządną drzemkę. Obudzili się, kiedy już słońce zaczęło dobrze przygrzewać, mgły topniały, a las napełniał się szumem, świergotem ptaków. We wsi panował już ruch, więc wstali. Byli rozespani, piekielnie głodni, z niewyraźnym więc uczuciem, wyobrażając sobie z góry najgorsze rzeczy, skierowali się w stronę chałup. We wsi, wbrew ich oczekiwaniu, panował zupełny spokój, nie widać było najmniejszego śladu jakichś zaburzeń rewolucyjnych. Chłopi pracowali spokojnie na polu, pastusi gonili bydło, baby karmiły kury, świnie, robiły masło lub oprzątały oborę.

Wstąpili do najbliższej chałupy, prosząc o mleko i rozglądając się ciekawie po izbie czy nie zobaczą czegoś rewolucyjnego. „Rewolucyjnym" jednak był tylko brud oraz liczba dzieci, jedzących ziemniaki ze wspólnej miski. Zmizerowana, o poczciwej twarzy gospodyni podała im w odświętnym garnuszku, wydobytym z kredensu, mleko i na malowanym talerzu cztery potężne pajdy chleba, których nie zdążyliby zjeść nawet do wieczora.

— A skąd wyście?... — zapytała następnie, podparłszy się o ścianę i przyglądała się im z ciekawością, choć życzliwie.

— A tak ta... — mruknął niewyraźnie Wojtek, zezując podejrzliwie w jej stronę.

— No, a dokąd Bóg prowadzi?...

— Prowadzi?... — a juści prowadzi... ano tak przed siebie... wicie gosposiu, tak przed siebie, jak Bóg do...

— To wy bezdomne??...

Jerzy nie wytrzymał, roześmiał się.

— Idziemy do Zaczernia, gosposiu... do jednego kolegi... My jesteśmy studentami...

— Aha... a jo tyz zaroz zmiarkowała, zeście miastowe i kształcone... Pan mnij... — wskazała na Wojtka — ale ten pan, to widać od razu... — uśmiechnęła się do Jerzego.

— Jo jezdem kształcony, tylom jest syn chłopski; z gnoju z przeproszeniem wylozem... — Wojtek zachłystnął się mlekiem, aż mu łzy w oczach stanęły.

— To tyz to zaroz widać... ale jageś kształcony, to czego mówisz po wsiosku... — zwróciła się już na „ty" do Wojtka.

— Loczego?... bom jest chłop... zaczerniański chłop! — Wojtek aż powstał, dumny i ważny...

— Eee... kiedy to brzydko mówić po wsiosku... nowiecy te młodsze... bo stare, to ta... a z młodszych, to każdy chciałby po pańsku, po miastowemu. Taki Jantek od Mirzwów.. hehe! to ci kawalir! jak sie na niedzielę wyjarzy, wypucuje, jak zacznie brząkać po miastowemu... „w ogóle" go nazywają, że tak ciągle mówi tylko „w ogóle i w ogóle" —. . . .

Jerzy nie wytrzymał, roześmiał się znów widząc niewyraźną minę Wojtka, którego wsioskość tak brała w łeb.

— Gosposiu!... — zwrócił się grzecznie, chcąc pokryć swoją wesołość — a jak tu u was?... no, spokojnie?...

— Pewnie, że spokojnie... A niby loczego miałoby być niespokojnie?

— No przecież chłopi robią jakieś strajki... furmanek nie przepuszczają do miasta, biją się z policją... słyszeliście chyba?...

— Słyszeć tom ta słyszała... o tak ta.... jak poniektóry z chłopów ni ma co robić, abo mo mało roboty w polu, to mu sie tam zachciwo awantur i polityki... ale u nos, chwolić Boga wieś porządno, ludzie majom po tyla roboty gdzie się tam komu zachciwo awantur... O zimioki trza okopywać, cebule sadzić, kunie oporządzić...

— Więc od was nikt nie poszedł na pomoc zaczerniańskim??... — zdziwił się.

Gospodyni skrzywiła się niechętnie.

— Pójść to ta pośli, ale żodyn z porządnych gospodarzy... o takie ta, wicie, dziady, nieroby.... Franek od Waltośki i Walków zięć, Szulc, ten co to sie z Zośką Opołczonką ożenił, tyż dziadowica przeklęta... o, takie ta legawce, dziady, same nic nie majom, to by ta letko chciały drugim odebrać...

Wojtek nie wytrzymał. Dopił pośpiesznie resztę mleka i wystąpiwszy na środek izby, począł ku uciesze wyrostków, siedzących przy wspólnej misce, grzmieć rewolucyjnie o wielkości ruchu chłopskiego, o odrodzenie wsi. Gospodyni słuchała chwilę, kiwając życzliwie głową, potem nie tracąc czasu, zaczęła się krzątać przy kuchni, nastawiać ziemniaki, wodę, w końcu westchnęła i powiedziawszy — „...Ono by ta było, było, ino ze nie do rady" — wyszła.

Jerzy roześmiał się.

— Oj, kumie rewolucjonisto! Ale ci baba powiedziała!... jak się w porządnej wsi cebule sadzi, to trudno robić rewolucję!... mówię ci, że my obaj to tak jak ten Franek od Waltoski i Walków zięć, Szulc, dziady i nieroby...., zamiast uczyć się i przygotowywać do matury, to nam się zachciało rewolucji....

Wojtek stał straszliwie markotny, zły i żarł potężną pajdę chleba, którą im uprzejma gospodyni dała na śniadanie.

Akurat weszła z powrotem, więc Jerzy wstał i wyjął portmonetkę.

— Ile się należy, gosposiu?... Dwa garnuszki mleka i chleb....

— Ee, co tam takie źdźiebko mlika!... Nie, nic sie nie należy.... Sumienie mi nie pozwolo... Krowy sie i tak teroz dobrze doją, jak ta z wiosną... mlika, chwała Bogu dosyć... idźcie z Bogiem...

— To może nam pokażecie drogę do Zaczernia...

— To jeszcze kawał drogi do Zaczernia... o, pódziecie howok, gdzie te pola... Wyszła z nimi na podwórze i szczegółowo objaśniła im drogę.

Pożegnał się z nią serdecznie, dziękując jej jeszcze raz za mleko i chleb.

To spotkanie natchnęło ich większą śmiałością i wiarą, szli więc pewnie. Zaledwie jednak wyszli na gościniec, zobaczyli gdzieś w połowie drogi osobliwy widok. Dwóch parobczaków stało na środku gościńca bijąc w blaszany garnek i zwołując ludzi do siebie.

Wnet pastusi i wszelkiego rodzaju wyrostki miejskie puściły się pędem w stronę zwołujących. Również co bliżsi chłopi, a nawet baby opuścili pracę i otoczyli zwołujących gapiącym się kręgiem.

Przyśpieszyli kroku i przyłączyli się do reszty ciekawskich.

Jeden z parobczaków, młody, o bladej, nerwowej twarzy, w wieku mniej więcej Wojtka, rozglądał się niepewnie po otaczającej go gromadzie, ale nie zdawał się widzieć nikogo, zabłąkany wzrokiem tu i tam. Drugi natomiast, który bił w blaszany garnek, czuł się zupełnie pewnie, patrzył na otaczających go z pobłażliwym, zadowolonym uśmieszkiem, nic nie wytrącało go z równowagi. O ile pierwszy z nich miał w sobie, szczególnie w spojrzeniu, coś dziwnie smutnego, tragicznego niemal, o tyle drugi budził już swym wyglądem wesołość. Na głowie miał jakiś zielonkawy dziurawy kapelusz, z wyciągniętym wysoko, na szpic denkiem, na nosie okulary, w których oba szkła były pęknięte i spod tych właśnie okularów podglądał otaczającą go hurmę, bijąc bez przerwy w dziurawy blaszak. Gdy uzbierała się już spora gromadka, komiczny, chudy kapelusznik przestał walić w garnek i podniósł rękę na znak uciszenia się.

Wtedy blady, nerwowy parobczak, stanął na zaimprowizowanym podium i zaczął przemawiać.

— ...Chłopi, obywatele wsi! W tej chwili, kiedy mówię tu do was, to w pobliskich wsiach policja jak barbarzyńcy plądruje domy waszych braci za to tylko, że się upomnieli o swoje prawa, że nie chcieli harować po 5 groszy za godzinę na pańskich, folwarcznych polach...

Jerzy spojrzał ze zdumieniem na Wojtka, który niemniej osłupiały jak on, milczał w odrętwiałej markotności, nie spuszczając oka z mówcy.

— ...Stare chłopy nie odczuwają może tak boleśnie tego położenia, jak my młodzi... My, którym w wolnej Polsce zatarasowali drogę do pracy i wiedzy... — młody mówca zapalał się coraz bardziej, wymachiwał rękami, nerwowe oczy latały po tłumie — ...Młoda wieś nie ma pracy. Tysiące młodych chłopaków marnieje, duszą się na i tak już do niemożliwości rozdrobnionej ziemi... Wieś nie ma pracy i przed wsią zamknęli drogę do dalszego kształcenia się w gimnazjach... my, chłopcy, nie jesteśmy dziś ciemną, niemrawą masą, której wystarcza oranie, sianie i czytanie na książeczce do nabożeństwa... my budzimy się do nowego życia, organizujemy się, stajemy się siłą, która nie ulęknie się byle jakiego durniowatego starosty, który wieś i polskość oblicza tylko na wysokość swojej pensji... my możemy nawet przegrać teraz i jeszcze kiedy, ale naszego chłopskiego ruchu, który ogarnia już całą Polskę, nie rozbije pałkami gumowymi żadna łajdacka policja...



rys. T. Zarzycki

W tłumie, słuchającym dotąd chciwie, ale w milczeniu, poczęły teraz podnosić się okrzyki, groźby, nawołujące do solidarności chłopskiej, do walki, bierną dotychczas masę zapalały płomienie, buchające nienawiścią do rządu, wypominaniem krzywd, urazów.

Młody parobczak, podniecony zachowaniem tłumu, wybuchał coraz goręcej, gwałtowniej, jego blada, nerwowa twarz płonęła fanatycznym ogniem, głos drżał od wewnętrznego wzburzenia.

— Młody, chłopski ruch organizuje się w związkach. My młodzi, rozpalimy taki ogień w Polsce, że od jego żaru gorąco się zrobi chołocie sanacyjnej, pchającej Polskę do zagłady i zguby, jak niegdyś ogłupiała szlachta!!...

Wśród chłopów wrzało już na dobre. Padały coraz gorętsze okrzyki, nawoływania, masa burzyła się. Młody mówca umilkł, rozglądając się nerwowo po falującej gromadzie, jakby dopiero teraz dostrzegał obecność każdego z nich, jakby te okrzyki obudziły w każdym poszczególnym chłopie jego najosobistszą fizjognomię.

Gdy się nieco uciszyło, młody mówca zapowiedział wystąpienie swego kolegi, poety ludowego, Teodora Jacka.

Znów spojrzeli po sobie, osłupiali do ostateczności.

— Coś podobnego!!! No wiesz... — mruczał Jerzy.

Wojtek kręcił się nerwowo, markotniał, to znów rozjaśniał się, nie dało mu ustać na miejscu. Wreszcie wysunął się nieco naprzód i chciał coś głośno powiedzieć do młodego mówcy, ale już na podium wtarabanił się z szumem i paradą zielony kapelusznik, ponad miarę zadowolony, uśmiechnięty, mierząc pękniętymi okularami, z ojcowską niemal pobłażliwością gromadę. Wyczekawszy stosowną pauzę Jacek zaczął czytać grobowym głosem, zapewne dla większego efektu, jakieś sonety, triolety, sielanki pełne zwrotów o „kwiatuszkach", „bydełku", „strumyczkach" i aż trzeszczące od oklepanych i do tego gramatycznych rymów.

— Drugie wydanie Perdeusza... — roześmiał się Jerzy, trącając Wojtka — ... a to ci prawdziwy Jacek z pirogami...

Po każdym wierszu Jacek kłaniał się publiczności i dawał obszerne komentarze co do okoliczności powstania, rodzaju i jak się wyrażał z zadowoleniem „gienezy" swych utworów. Komentarze te ilustrowane obficie własnym awanturniczym życiem, wywoływały szczególnie u wyrostków i dziewczyn, wesołość swym niefrasobliwym ekshibicjonizmem, tak że wkrótce napięcie wzburzenia, wywołane przemówieniem poprzedniego mówcy, ustąpiło miejsca ogólnej wesołości.

Zobaczywszy, że w pewnej chwili młody agitator zszedł z podium, zostawiając deklamującego zajadle Jacka, Jerzy przecisnął się do niego, i niezręcznie, z pewnym wahaniem, poprosił o chwilę rozmowy na osobności.

Nerwowe, jeszcze gorejące od przemówienia oczy młodego agitatora spoczęły na nim z pewnym zdumieniem i jakby niedowierzająco, co zmieszało go jeszcze bardziej.

— Jestem gimnazjalistą... Jest nas dwóch... Chciałem porozmawiać...

— Owszem, owszem... Wyjdźmy stąd, bo tu nic nie słychać...

Z trudem przecisnęli się przez tłum i wyszli na gościniec. W tej chwili dopadł ich Wojtek.

— Witojcie, kolego, witojcie!... Kuciela się nazywom... — Pakował się od razu między nich, wrzał, szumiał z przejęciem, aż kamieniejąc z markotności i ważności.

Młody agitator słuchał ze zdumieniem jego, szkaradnie zresztą przesadzonych, opowiadań o niezwykłych wyczynach w szkole, ulotkach, napisach, przemówieniach, propagandzie na rzecz chłopów. Naturalnie o nieszczególnym przyjęciu przez chłopów Wojtek przezornie zamilczał.

— ...Jo jezdem chłop, z gnoju, z przeproszeniem, zaczerniański!... — huczał ziejąc ludowością — szlak mie trafił, kolego, jagem widzioł auta załadowane chłopami... i to wszystko wciąż do więzienia i do więzienia... to było za małe lo nos, te ulotki, napisy, agitacje między chłopokami... to nic, bo co to jest naprzeciwko tego, co się tu dzieje — pchało nos tu właśnie, we zawieruche, nie dało usiedzieć, tak i my wzieni i przyszli... No a tu patrzymy... a wy to już robicie, co my se uradzili.

— Rzeczywiście, rzeczywiście... ale strasznie sie ciesze, żeśmy sie razem... — młody agitator ściskał im ręce, uśmiechał sie przyjaźnie, wprost nie wiedział, jak ma ich godnie przyjąć — strasznie sie ciesze, żeśmy sie poznali, ale nawet wam sie nie przedstawiłem — Micał sie nazywam... z Malawy pochodze... to po tamtej stronie Zaczernia... Ale strasznie sie ciesze... Więc nawet w gimnazjach nasz ruch zyskuje na sympatii, o to świetnie!!... O, musze jeszcze dziś powiedzieć o tym moim kolegom z uniwersytetu...

— Z uniwersytetu?... — zdziwił się Jerzy.

— Tak, z uniwersytetu... ale takiego, wiecie, chłopskiego, czysto ludowego uniwersytetu w Gaci... Słyszeliście może o Gaci, o Solarzu...

— No pewnie!!... skłamał Wojtek bez zająknienia — wiecie kolego, nolepi będzie, jak podziemy razem... kupą, gromadą... bedziemy wygłaszać przemówienia, organizować... ale te wierszycki... — pokazał pogardliwie w stronę Jacka — to szkoda czasu, ino chłopy się z tego śmieją... takie wiersze, wicie, to jakby krasula usłyszała, to by sie zegziła na całego... Takie ćmoje boje o „kwiatuszkach", żeby sie wścik... o, tu, patrzajcie kolego, tu mocie poete, co już w Kurierze drukowoł, co nagrode za nagrodą broł na konkursach szkolnych... no, no, nie rób się taki skromniutki, Jureczku... nie wszystkie poety som takie skromne jak ty... my tu mieli, wicie takiego nieskromnieusza, wicie, byka nie poetę, ale nom się zegziuł i ucik... No to pojdziemy razem, gromadą... — Naturalnie... jeszcze jak!... Nie wyobrażacie sobie, jak sie ciesze, teraz pójdziemy do Harty...

— A Zaczernie, Wojtek, a Zaczernie!... Jerzy chwycił wprost Wojtka za rękę, żeby mu pomógł, — bo wiecie, myśmy koniecznie chcieli najpierw do Zaczernia... tam mamy, to znaczy już teraz nie mamy, ale jest tam nasz dawny kolega z ósmej klasy, Domasz... tak, ten... mamy z nim porachunki osobiste... chcieliśmy mu imieniem całej klasy wykazać jego podłość, udowodnić jego kłamstwo, bezeczność w oczy... mamy dokumenty na to...

— Nie rozumiem... no, bo jak wy tam się chcecie dostać... przecież tam policja obsadziła całą wieś... a Damsz już dawno został wywieziony do więzienia okręgowego — przecież po zabójstwie policja musiała go aresztować, jeszcze tak dobrze w Polsce nie ma, żeby zabójca sobie siedział w domu...

Jerzy słuchał speszony wprost wstydził się za swoją głupotę. Rzeczywiście jak

mogło im to nie przyjść na myśl! Wyobrażali sobie, że Damsz tam chyba po wsi chodzi i ot tak, spotkają go na ulicy... I za kilka tygodni miał zostać absolwentem!...

— Chodźmy do Jacka... — Micał ujął ich pod pachę — chodźcie, posłuchajcie jeszcze, może wam się udadzą te jego wiersze...

Przecisnęli się przez tłum chłopów, przyglądając się im z ciekawością, i doszli do podium, gdzie właśnie Jacek ukończył swoje recytacje.

Chcąc dać chłopom sposobność do oklasków, ukłonił się salonowym gestem, ale tak nięszczęśliwie, że dziurawy, zielony kapcylinder spadł mu przy ukłonie na gościniec, co wyrostki i pastuchy przywitały radosnym wybuchem śmiechu, uważając to za integralną część programu.

Nagle na gościńcu, niedaleko lasu, zahuczały motory aut. Ktoś krzyknął przeraźliwie... „policja! ludzie, laboga, uciekajcie!" i natychmiast wśród chłopów powstał popłoch, zamieszanie, krzyki, wszyscy poczęli uciekać, chować się po chałupach, stodołach i stajniach.

...Uciekajcie!... — krzyknął do Jerzego Micał, sam nie ruszając się z miejsca... schowajcie się w stodole, prędzej! — i pośpiesznie wydawał instrukcje, jak się mają chłopi tłumaczyć na wypadek śledztwa. Pod wpływem ogólnej sugestii Jerzy począł również uciekać. Przeskoczywszy rów, potykał się co chwila w ogólnym zamieszaniu, biegł w stronę najbliższej stodoły, potem wydała mu się jednak za mało bezpieczna, skręcił więcej w bok i dopadł jakiejś szopy, czując tuż za sobą sapiącego Wojtka.

Dopadłszy szopy odwrócił się mimo woli i naraz zobaczył jak dwa auta policyjne zatrzymały się tuż prawie przed stojącym samotnie na szosie Micałem i niemal jednocześnie z aut wysypały się granatowe błyski mundurów, nadziane hełmami i karabinami. Na stojącego nieruchomo Micała spadł grad pałek gumowych. Micał zachwiał się, zasłonił rękami i upadł na ziemię.

Jerzy krzyknął ze zgrozy, jakby ciosy wymierzone w Micała trafiły w niego. W tej chwili Wojtek, wpadając, pchnął go i zatrzasnął odrzwia szopy.

Był to już ostatni wysiłek, który mógł zrobić. Upadł ciężko na słomę i leżał nieruchomo, osłupiały, ogarnięty nagle niemocą rozpaczy, bólu, wstrętu, płakał jak dziecko, jakby go skopano, zbito do nieprzytomności.

Od wsi dochodziły przeraźliwe krzyki, lament bab, płacz dzieci, trzask i huk, jakby burza zmiatała wieś z posad. Co chwila grał głuchy warkot aut, przewiercał te wszystkie odgłosy, gryzł je, podrywał się w coraz innym miejscu, a gdziekolwiek się dłużej zatrzymał, buchały w niebo czerwone krzyki, obdzierany ze skóry lament i skowyczący płacz.



rys. T. Zarzycki

Jak długo to trwało? Nie liczył, nie starał się niczego ogarnąć, zatrzaśnięty w sobie, ogłuchły na wszystko.

Dopiero niecierpliwy głos Wojtka począł go szarpać i budzić, jak z ciężkiego koszmarnego zamroczenia.

— Chodź, Jurek... pojechały skurczybyki, pies im morde drapoł... Podniósł się powoli, otępiały, zbolały wewnętrznie. Wojtek zaś, obserwujący dotychczas przez szpary, począł teraz ostrożnie otwierać odrzwia, kukał, wypatrywał, wreszcie otwarł je całkowicie.

— Pojechały, mordy zakazane... śpieszy im się na nowe rzezie... żeby wos tak szlak trzy razy trafił i żebyście trzy razy musiały zdychać, wy pachoły, psiakrew... wy bandyci, pies wom morde dropoł... wy łotry cholerne.

Wyszli na pole rozglądając się niepewnie. Wieś wyglądała jakby huragan po niej przeszedł! Parkany potrzaskane, połamane, przed chałupami porozbijane, powywlekane graty, łóżka, pościele, kilka szop zdemolowanych, rozniesionych do szczętu.



rys. T. Zarzycki

Krzyk bab latających jak oszalałe żmije, wzywających Boga na pomstę, niósł się po tym wszystkim, mieszał z wyciem psów i płaczem dzieci... Kilku chłopów leżało skrwawionych przed studnią, cucono ich, lejąc na nich wodę i wiążąc szmatami.

Z tego obrazu zniszczenia i zgrozy jedna tylko rzecz ocalała w sposób wprost prowokujący — to szpiczasty, wyciągnięty denkiem do góry kapelusz Jacka, leżący sobie niefrasobliwie na środku gościńca w tym samym niemal miejscu, gdzie upadł po szarmanckim ukłonie przed publicznością. Natomiast ani Jacka ani Micała nie znaleźli nigdzie. Trudno się zresztą było kogoś dopytywać, każdy patrzał na nich nieprzytomnie, to znów z wściekłością, jak pies pokąsany, że przyśpieszali kroku i w milczeniu przechodzili dalej.

Gdy mimo tego Wojtek jeszcze raz ponowił pytanie o nich, któraś z bab skoczyła do niego jak opętana, wygrażając mu warząchwią pod nosem.

— Wy nieszczęśniki przeklęte!... dopokąd was licho tutok nie przyniosło to był spokój... aleście przyszły, sprowadziły policje razem z tamtymi... żeby was Pon Bóg i Matka Boska Przenajświętsza pokarała w ty godzinie... żeby wom nogi połamało i ręce poodejmowało...

Rzeczywiście, tego tylko brakowało!... No, doczekali się! Szarpnął Wojtka, który próbował się usprawiedliwiać i szybko wynieśli się z tego miejsca krzywdy, rozgoryczenia i niezrozumienia.

Szli w ponurym milczeniu, byle najdalej ode wsi, środkiem pól, miedzami, to znów polnymi ścieżkami. Im bardziej oddalali się od wsi, im łagodniej spływał na nich krajobraz łąk, pól, tym więcej uświadamiała im się ich niepotrzebność, przypadkowość w tej całej tragedii, której byli świadkami od dwóch dni.

Mimo, że sobie tego wyraźnie nie powiedzieli, czuli jednak, że droga, którą idą teraz, prowadzi już tylko do domu. Nie było co ukrywać! Przegrali swoją kampanię społeczną paskudnie, życie nie oszczędziło im ani trochę złudzenia. Szli ogłuszeni i ogłupiali jak zbite psy, nie mogąc pojąć wielkości okrucieństwa i żywiołu zła, które legły się pod tyloma pozorami na każdym niemal kroku.

ZDZISŁAW SKWARCZYŃSKI

Powieść o cierpliwym piechurze

Urodził się Edward Wrona 26.1. 1896 r. w Białej koło Makowa Podhalańskiego, pow. Wadowice. Dzielił tedy los wszystkich poddanych tego wielkiego germańskiego imperium kolonialnego środkowej i południowo - wschodniej Europy, w którym ziemiom Polski przypadła wymowna, anegdotyczna nazwa Golicji i Głodomorii, naskutek specjalnej polityki społeczno-gospodarczej austriackiego rządu centralnego i rodzimych konserwatystów, udaremniającej postęp i — mimo wcześniej przeprowadzonego niż w Kongresówce uwłaszczenia, — dalekiej od rozwiązania tych spraw w duchu potrzeb mas stanowiących trzon mieszkańców tego kraju.

Cokolwiek dałoby się powiedzieć o ówczesnym ruchu ludowym — Edward Wrona został powołany do udziału w życiu państwa, jak Piotr Niewiadomski z powieści „Sól ziemi" Wittlina — dopiero wtedy, gdy trzeba było mięsa armatniego dla realizacji zaborczych celów germańskich ciemięzców.

Narukował wtedy Wrona w maju 1916 r. do Kielc. Po krótkim przeszkoleniu wojskowym, jesienią tegoż roku bierze udział w walkach toczących się w Karpatach lesistych. Ranny — wraca do szpitala i do kadry. Stąd w maju w 1917 roku wysyłają go na front włoski. Początkowo wojna tutaj nie przedstawiała się zbyt groźnie. Wszędzie są chłopi. A Słoweńcy w Krainie byli ludźmi dobrymi, życzliwymi i gościnnymi. I tutaj więc można było pracować przy sianokosach. Piękno kraju wywarło na Wronie niezatarte wrażenie! Niestety, sielanka na przyfrontowym etapie trwała krótko. Po miesiącu trzeba było ruszyć na front, który wkrótce przesunął się nad Piawę. Batalion szturmowy — to właśnie miejsce dla „słowiańskiego bydła". Niechaj ginie za c. i k. ojczyznę.

Kiedy w październiku 1918 roku „sławna i niezwyciężona armia cesarska" wziąwszy cięgi nad Piawą rozleciała się w strzępy, tracąc setki tysięcy żołnierzy (pułk Wrony stracił ich w ciągu wojny dziesięć tysięcy), nasz cierpliwy piechur wraca o głodzie i chłodzie śród chorób gnębiących rozbitą armię — do rodzinnych pieleszy.

W lutym 1919 roku staje się napowrót żołnierzem. Tym razem żołnierzem Rzeczpospolitej. Ofiara jego chłopskiej krwi ma zapewnić wszystkim obywatelom pełnię swobody, w nowej odrodzonej Polsce.

Kampanię 1920 roku odbywa całą. Wróciwszy do domu, do tych samych bied i utrapień, mieszkaniec zawsze głodnej wsi podgórskiej, gdzie wobec niemożliwości dokonania działów prowadzić trzeba patriarchalnym sposobem gospodarkę wspólną pod przewodem ojca — głowy rodziny — z troską śledzi obrót spraw publicznych, oczekując zapowiadanych konstytucją marcową — zmian na lepsze.

Z goryczy zawiedzionych nadziei powstają jego wiersze, w których ujawnia się zrozumienie dla doli żołnierza, który musi bić się i ginąć oderwany od swej pracy, której przecie zawsze po łokcie.

W r. 1932 przejmuje Wrona po zmarłym ojcu prowadzenie gospodarki.

Budzący się nowy radykalny ruch chłopski skupiający się wokół miesięcznika „Wieś — Jej pieśń" przyciąga i jego. Drukuje w piśmie tym swe wiersze, bierze udział w zjazdach pisarzy. Cieszy się, że krąg czytelników tego pisma rozszerza się, że pismo zasięgiem swych idei obejmuje coraz to większy krąg życia wiejskiego, przekształcając się w Nową Wieś.

Aresztowanie Czuchnowskiego i wyjazd Olchy do Warszawy rozprasza gromadę pisarzy i udaremnia dalsze zamierzenia.

I znowu wojna. I znowu chłopskie krzywdy. Ciężkie roboty przymusowe w lesie, na torach, przy okopach. Kierownik mleczarni, Polak Gawarecki, zabiera ostatnią krowę, pozbawiając kropli mleka. A co począć na chudych poletkach bez szczypty nawozu? Ciężko żyć ziemniakami i wodą, zwłaszcza, gdy zdrowie ucieka z ciała, jak z dziurawego garnka. Jeszcze ciężej pisać. Nawet i dziś. Toć trzeba siedem kilometrów iść, żeby przepisać na maszynie czytelnie i móc przesłać do redakcji „Wsi" tomik wierszy do druku, bo człowiek tylko cztery zimy do szkoły chodził, a ręka bardziej do ciężkiej pracy nawykła, niż do pisania.

EDWARD WRONA

Moja wioska

Hej, wiosko moja, czarowna,
Pełna uroków jak wiosna.
Tyś moje szczęście całe,
Takie promienne, trwałe.

Hej! wiosko moja, w górach.
Ukryta, czasem w chmurach.
Gdzież słońce piękniej świeci?
Gdzież życie milej leci?

Z wiosną skowronek śpiewa,
Cudownie kwitną drzewa,
Zieleń pokrywa lasy,
Rozkosznie pachną kwiaty,

A w dali szumi rzeka.
U chaty piesek szczeka,
Na gruszy gwiżdżą szpaki,
Gosposie sieją maki,

Kotek się czai na dachu,
Wróble ćwierkają ze strachu,
W gaju zazula kuka,
W potoku młynek stuka.

Piosenkę wiater niesie.
Słychać jej echo w lesie!
Gdzie na ukwieconej ścieżce
spotykam moje dziewczę!

Jawory

Jawory odświętnie stały, cieniąc leszczowe laski.

Na szczytach gór pastuchów gasły watry.

Potok grał wodospadem, do rzeki staczał piaski.

Zachód łuną krwawi, a tu tytanem stoją Tatry!

Polany mokrą łąką w potoki pchają lasy.

Wśród smreków dźwięczy kobza, z szałasu dym się podniósł...

W jabłoniach bąki dzwonią, a rosę piją kwiaty...

Wieczoru dłonie wonne wiater do wsi poniósł...

W topolach krzyczą sowy, jakby strącone duchy.

Na bagnie była karczma, na bagnie teraz straszy.

Na stawie wioseł chlupot w tataraki głuchy.

Nocne pająki, duchy pełzają cicho na czaty!

Zwolna na nieba łęgu mrużą się gwiazdy cicho.

Pustą przez wieś ulicą błąka się ciemne licho.

Poległym Radzieckim

Lewym łokciem zatopiony w śnieg, —
A głowa w tył rzucona,
Prawa ręka ku wschodowi wzniesiona, —
Jakgdybyś braci przyzywał swych,
Aby ci głowę unieśli,
Kiedy ci z piersi ostatnie uciec miało tchnienie,

I oto mrozem ściśnięty śpisz.
Z oczami w niebo utkwionymi!
Niemiecka kula w sercu ci tkwi.
Nigdy już żonki, ni żonka ciebie nie utuli.
Tuli cię zimny śnieg i mróz!
Na dnie potoku, wśród polskich smreków i brzóz.
Nie wrócisz już nad Wołgę, nie zobaczysz już Kaukazu!
Na wieki zostaniesz tu!

Tu wśród polskich smreków i brzóz
Twoje ostatnie krążyło będzie tchnienie!
Latem słowik przyfrunie tu z Kaukazu
By twoją budzić cię piosenką!
A brzoza płakać będzie w każdy rok.
Nie zbudzi cię słowika twego pieśń,
Ani dziewczyny słodki śmiech!
Tulić Was będzie polska ziemia
Piosenki Wam przyniesie wschodni wiatr
Z nad Donu, z nad Wołgi!
I śnić będziecie złoty kraj
W krainie wiecznych snów!
Wasze ostatnie tchnienie krążyło będzie
Wśród polskich smreków i brzóz!
Za bój, trudy i znój. — tulić Was będzie
Polska Ziemia. —

PAWEŁ KUBISZ

Dyskusja o gwarze

Pogańska herezja

Paweł Kubisz jest czwartym chłopskim pisarzem, po J. Poganie, A. Urbanie i St. Jusze (niezależnie od wypowiedzi krytyków: K. Budzyka, A. Sandauera i J. Z. Kempfa), zabierającym głos na temat gwary. Poeta Kubisz jest głównym dziś, obok Nędzy-Kubińca i Pogana, pisarzem gwarowym, przedstawicielem djalektu śląskiego, wielokrotnie ostatnio atakowanym i przytaczanym przez każdego nieomal z naszych dyskutujących.

POGAŃSKA HEREZJA.

Dotychczasowe wypowiedzi ogłoszone na łamach „Wsi" w sprawie literackiej twórczości gwarowej, sprawiają wrażenie poglądów zaściankowych lub też wyraźnie stronniczych. Nie dziwiłbym się, gdyby te wszystkie głosy wyszły spod pióra profesorów matematyki, albo były dociekaniami przypadkowego szabrownika, który w najbliższej przyszłości chce się poświęcić studiowaniu filologii. Dlatego nie mało mnie zaskoczyło, że o gwarach polskich, o ich wykorzystywaniu w tworze literackim, mogą pisać w tak nieodpowiedzialny sposób pisarze. Ten brak odpowiedzialności jest różny, jedni wypisują, co bezpośrednio myślą na ten temat, bez odpowiedniego przygotowania naukowego, inni znów jak Jalu Kurek chcą na poczekaniu stworzyć tezę hokus-pokus, która miałaby poświadczyć, że ho, ho — patrzcie, ja ich już urobię, pokażę wam jak z kurzego jajka lęgnie się kukułka!

Co osobiście myślę o twórczości gwarowej, powtórzyłem to na sierpniowym zjeździe literatów chłopskich w Warszawie. Tam też, o ile pamięć mnie nie myli, doszło do ogólnego potwierdzenia nobilitacji gwar w literaturze polskiej. Nagle wynikłą w tej sprawie dyskusję na łamach „Wsi" uważam za próbę skonkretyzowania.

NAJPIERW NIECH SIĘ WYPOWIEDZĄ JĘZYKOZNAWCY.

Kto z literatów chłopskich studiował poza swym ośrodkiem wsiowym czy dzielnicowym, resztę innych gwar polskich? Chyba będzie takich nie wielu. Ilu literatów chłopskich zna poza językiem polskim, inne języki słowiańskie? Aby pisać o gwarze, aby tworzyć w tej czy innej gwarze polskiej, trzeba mieć to podejście, związane z pewnymi znajomościami językowymi. Gwarowi pisarze podhalańscy powinni znać język słowacki i czeski, pisarze śląscy prócz tych dwóch powinni znać i język niemiecki. A to gwoli naleciałości gwarowych. Albo: urządźmy ankietę, która będzie miała na celu uzyskanie informacji, ile polskich pisarzy jest przynajmniej cośkolwiek zorientowanych w tak obco dla nich brzmiącym przedmiocie, jak „gwary laskie". Ilu z nich czytało na ten temat pracę językoznawcy Stiebera? Mamy przynajmniej trzech czy czterech literatów polskich, którzy interesowali się lub interesują tymi problemami już choćby z tego tytułu, że przecież dla twórcy, dla poety i pisarza są to jego serdeczne sprawy! Otrzaskał Polskę z gwarą podhalańską Tetmajer i inni... ale dzisiaj Nędzę-Kubińca za to samo chce się zakrzyczeć! Wiemy coś w Polsce o gwarze kaszubskiej, nie zbyt wiele o gwarach śląskich, coś chłepnęliśmy z gwary podkrakowskiej z szmoncesowej „Marcyny" Kędziory, i jeszcze jakichś tam parę mgławicowych urywków, ale na tym znajomości nasze się kończą. Opolszczyzna, Warmia, Mazury... chyba też tam jakoś ten lud gada... zaś wszerz i wzdłuż całej Polski popularnieje warszawskie żargonko Wiecha! W ząbek nas czeszą — rozum nam chcą zakuć! Zagadnienie twórczości gwarowej jest zbyt poważnym problemem, aby je można było załatwić tylko przez wypowiedzi pisarzy. W tej sprawie muszą się wypowiedzieć przede wszystkim językoznawcy. Wypowiedź pisarzy — to precedens wtórny. Trzeba bowiem ustalić, jak już powiedziałem, pewien wymiar, które i jakie gwary polskie powinni pisarze uznać a które jako tworzywo artystyczne, odrzucić. W jakiej gwarze może być napisany wiersz, a nie może być napisana powieść? Czy w ogóle jakakolwiek powieść może być napisana li tylko w gwarze? Przykład Kędziory jest odstraszającym, ale nie decydującym! Ja osobiście opowiadam się za nobilitacją dwóch gwar polskich: podhalańskiej i śląskiej — ściśle: cieszyńskiej, tak bliźniaczo pokrewnej gwarze opolskiej i ciążących do nich gwar laskich. Nie chcę się rozwodzić na temat gwary podhalańskiej, wyśpiewa chyba na jej cześć pean uroczysty Nędza-Kubiniec, jakoż, że i z krytyków dobrze kpić potrafi a sentyment u niego do Podhala jest namiętny. Stoczyć wypadnie mi tylko kampanię o gwarę cieszyńską. Atuty proste i przekonywujące. To, co wyście zagubili w Polsce, to u nas jeszcze trwa, sześćset przeszło lat (wypisuję: słownie!) była ta gwara w użyciu, nie zdążyła się przeżyć i w grób położyć, była i jest za zbyt piękną, jak cały ten kraj niekończących się cierpień i walki, — żeby się stać inaczej mogło. My, u nas — mówimy jeszcze dotąd od sześciuset przeszło lat: wiater, cioszczek, tróm, zaguzdrane życie. Pokutuje ciągle u nas Rej, Modrzewski, ich staropolska herezja językowa. Zniemczyli się Piastowie, poszła za nimi polska szlachta w ogonie... pozostał jedynie lud „pańszczorz na pańskim zagónie", który w staropolskiej mowie, klął tak samo gwarowo na swój los, jak klnie i sobaczy na życie dzisiejsze. Gwara cieszyńska, to mowa ludu, gminu, pospólstwa, to niezgaszona polskość przez wojny, ucisk i niewolę. Powie ktoś: ona wymiera, ona wymrze — ja mu odpowiadam: może za lat sto, za lat dwieście, ale stanowczo przetrwa dłużej jej żywotność, niż skalana żywotność dzisiejszej polskiej awangardy literackiej. Dlatego dopuśćcie do sądu językoznawców i historyków, niech oni mówią... a potem niech się wypowiedzą pisarze i twórcy!

PRZYBOŚ, CZECHOWICZ, WAŻYK, POGAN I URBAN.

O Jalu Kurku już wspominałem, nie chcę się powtarzać, nie chcę analizować jego artykułu o regionaliźmie i gwarze. Ta metoda, którą posługuje się Jalu Kurek w artykule zatytułowanym „Góralu czy ci nie żal?", który był zamieszczony na łamach „Wsi", jest za zbyt płytka. Wmawiać komuś, że pisania gwarą nauczył Tetmajer jest nierzeczowe i dorywcze. Gdybyśmy zaczęli szastać takimi argumentami mieszczańskimi, to najspokojniej moglibyśmy powiedzieć: Jalu Kurka po polsku nauczył pisać Mikołaj Rej z Nagłowic i iluś tam jeszcze pisarzy polskich, epigonów tegoż Reja.

Działo się to dobrych kilkanaście lat przed wystąpieniem Jalu Kurka, kiedy zabrał głos na temat gwary cieszyńskiej jego bliski kolega — Julian Przyboś, przebywający podówczas jako profesor gimnazjum w Cieszynie. Wtenczas Przyboś, jak sam przyznawał publicznie, przekonał się do śląskiej twórczości gwarowej, ale podejście Przybosia cechowała skrupulatność, nie pośpiech pisania od wiersza, ale dłuższa obserwacja, męczące wnikanie w problem śląskiej twórczości gwarowej. Przyboś jako poeta zdobywczy i wiecznie poszukujący swego ciągle nowego, związłego, indywidualnego i pionierskiego osiągnięcia w poezji polskiej, być może, odnajdywał podówczas pokrewne elementy w takiej twórczości. Bo rzetelne tworzenie w samej wyłącznie gwarze, nie jest jakby się mogło pozornie wydawać, ukrywaniem nieporadności, jak twierdzą zazdrośni neofici, lecz procesem dosyć dużego wysiłku twórcy, cyzelującego często nieporadności gwarowe. Twórca gwarowy — a mówię teraz o wierszach — nie napisze za rok dobrego tomiku poezyj gwarowych, ale trwa to znacznie dłużej, niż rzucenie na rynek tomiku poezyj zwyczajnie językowych. Mógłbym i mogę nie zgadzać się w wielu wypadkach z Przybosiem, mogę nazwać jeden z jego ostatnich artykułów, ogłoszonych niedawno na łamach „Odrodzenia" w sprawie pisarstwa ludowego — wyświechtanym komunałem pasującym doskonale do lat 1920 — 1936 w Polsce a niegodnym nazwy roku 1945 — ale jego dawniejsze definicje i wytyczne w sprawie twórczości gwarowej budziły u mnie pełny podziw. Jego prekursoryczne wniknięcie w to bądź co bądź trudne zagadnienie, jakże diametralnie różni się z wystąpieniami, niektórych autorów z łódzkiej „Kuźnicy" z końcem roku 1945! Tam, to już trafiono przysłowiową kulą w płot! Obudzono naraz na łamach „Kuźnicy" Jana z Czarnolasu i sypnięto protekcjonalnie pod naszym adresem wzorem, który jakoby przyjęto za swój własny. Szkoda, że tak późno odkryła „Kuźnica" dawno odkrytą Amerykę! Bo prócz Juliana Przybosia, był to nie kto inny tylko Józef Czechowicz, którego podejście do śląskiej twórczości gwarowej, publikowane w roku 1938 — podbijało o niebo zalecane wzory z „Kuźnicy", gdyż właśnie Czechowicz, wtedy stwierdzał, pisząc o śląskiej twórczości gwarowej, że przypomina ona dawno przebrzmiałe echa Jana z Czarnolasu. Wypłynęło przed nim znowu stare słownictwo, zagubione przez figlarnych utracjuszy literackich. I wtedy Czechowicz z pełną pochwałą, w zupełnym zrozumieniu ogólnopolskiej tezy gwarowej, rozstrzygał sprawę na korzyść pisarzy gwarowych! Nieznajomość dawniejszych wypowiedzi, stała się także jednym z powodów — z czego nie zamierzam nikomu czynić wyrzutów — do ogłoszenia pobieżnego artykułu Adama Ważyka w numerze 8 „Kuźnicy" p.t. „Mitolodzy Wsi", gdzie z fujarek pospólstwa i gminu, prędko i raptownie zmajstrowano kułackie fujarki. W pewnym miejscu swego artykułu pisze Ważyk tak:

„Ale dlaczego do gwary powraca Paweł Kubisz? Widzieliśmy go na zjeździe w Krakowie, mówił tym samym językiem co inni literaci. Chyba nie będzie wymagał, żeby podręczniki szkolne były pisane gwarą? Chyba nie sądzi, że wieś oświecona zachowa tę swoją, tak rozczulającą odrębność. Chyba nie wymaga od chłopów dwujęzyczności. Nie ja mu stawiam to pytanie, tylko praktyka społeczna".

DYSKUSJA Z WAŻYKIEM.

Ponieważ atak formułowany jest zbyt wyraźnie, trzeba mi na to odpowiedzieć. Jeśli na zjeździe w Krakowie przemawiałem tak, jak inni literaci, to nie jest powodem, żebym nie potrafił przemawiać w jeszcze innym języku. Co me przemówienie w Krakowie, wygłoszone w języku „normalnym" ma mieć wspólnego z pisaniem gwarowym, nie wiem. A może Ważyk chciał w taki sposób powiedzieć: widzicie, gwarę to on zna, ale ponieważ włada równocześnie poprawnym językiem literackim, nie powinien mieć nic wspólnego ze wsią. Lecz ja jednak jestem innego zdania: szkoły prawie nic mi nie dały, wszystkiego czego się nauczyłem (i języków!) poza szkołą w cierpkich warunkach wsiowych samouka. Ze wsią i z ludem wiąże mnie wszystko... z miastem chyba tylko pobyty w więzieniach i druzgotanie tam zdrowia! Aby podręczniki szkolne były pisane gwarą, tego nie wymagam i nigdzie się nie domagałem! Ale natomiast, żeby w tych szkolnych podręcznikach były zamieszczane także i wiersze gwarowe i proza chłopska, tego wprost żądam! Wbrew mniemaniom Adama Ważyka, muszę powiedzieć, że śląska wieś oświecona zachowała dotąd i zachowuje tę swoją — jak ją Ważyk nazywa — rozczulającą odrębność i śląscy chłopi i robotnicy czy wykształceni lub niewykształceni operują tą dwujęzycznością, nawet często trójjęzycznością. Praktyka społeczna w tym względzie na Śląsku nie postawiła mi jeszcze takiego zapytania, jakie w jej imieniu stawia mi Ważyk...

CZY GWARA JEST ANTYPAŃSTWOWA?

Nie chciałbym jednak krzywdzić Ważyka, dlatego przypuszczam, że jego pytania są raczej chwytem agitacyjnym, bądź też Ważyk miał na myśli inne tło zagadnienia... dzielnicowość, separatyzm, państwowość czy antypaństwowość gwary. Gdyż i z tego trzeba sobie zdać sprawę, ale to już jest broń indywidualna każdego twórcy gwarowego, dyscyplina i obowiązek zaś nakazuje, że broni tej nie wolno nadużywać w pewnym określonym kierunku. W Polsce nie było jeszcze takich wypadków i dziś już nie będzie, natomiast za granicą był podobny objaw, lecz i ten sporadyczny wypadek potwierdził jedynie tą samą tezę określoną przez językoznawców różnej narodowości. Seperatyzmu i dzielnicowości nie wytwarza twórczość gwarowa, lecz zazwyczaj składa się na to szereg innych czynników natury administracyjnej, zadawnionych urzędów zaborczych czy też hegemoniczne posunięcia władz centralnych i t.p. Właśnie obecna chwila dyktuje nam wprost nawrót do języka ludowego, do nieprzebranego słownictwa gwar polskich. Przyczym technika zużytkowania gwary może być różna, że tak powiem: etapowa. Dziś ten i ów pisarz uprawiał będzie swą twórczość w lokalnym zakresie swej gwary a już może jutro inny twórca w drugim etapie będzie się posługiwał wyrazami, zaczerpniętymi z tej, tamtej i innej gwary polskiej, wprowadzając je w ogólny nurt mowy i literatury polskiej. To już jest i jeszcze będzie poszerzeniem mowy polskiej.

DYSKUSJA Z POGANEM.

Innym trybem rozumowań poszedł drapieżny pisarz soczystych scen chłopskich i gwary podkrakowskiej, J. Pogan. Mnie samemu gwara podkrakowska nie odpowiada jako tworzywo artystyczne, jest to gwara, w której brak dosadności językowych i piękna dźwięku. Te wszystkie „ftoki", „ftóry", „fto", te wszystkie „hawok", „hawek" czy tomahawek — rażą, jeszcze proza, jeszcze — ale nie wiem jakie paskudztwo wyszłoby z tego wszystkiego, gdyby Pogan zaczął w tej gwarze popisywać się poezją! Wprawdzie impulsywny Pogan atakuje mnie szpetnie za te, jak to nazywa przeciwieństwa ortograficzne, ale ja już wolę pisać gwarowo gniew przez „y" ponieważ taka jest fonetyka, bo tak nakazuje mi zdrowy rozsądek a nie nieprzemyślany impuls. To, że tak pisząc, męczę chłopów, jak powiada Pogan, jest chyba jedynie podkrakowską przesadą, gdyż dobrze się orientuję i poczyniłem szereg doświadczeń w tej sprawie, zaś Pogan podumał i wydumał „legendę" i bez zastanowienia, aby sobie użyć, machnął ją do „Wsi". Wśród wielu innych, błędne jest też powiedzenie Pogana, kiedy zmyśla, „że gdybyśmy pewne wyrazy napisali orto graficznie, to jednak gwara wcale by się przez to nie zmieniła". Ani tu rąk, ani nóg — a głowa w powietrzu zawisła!

Kapitalną złośliwością Józefa Pogana w jego artykule „Gwara to nie chińszczyzna" jest post scriptum pod adresem Stanisława Juchy, który w myśl słów Pogana „może wynalezie nowe czcionki drukarskie na drukowanie swych dziwolągów". Nie chcę na tym miejscu omawiać wartości artystycznej utworu Juchy o którym wspomina Pogan... chodzi mi tutaj jedynie o te czcionki na dziwolągi gwarowe. Otóż aby Pogan wiedział, że jego złośliwie - genialny żart z tymi czcionkami jest żartem, który posiada srebrzystą brodę. Taki wypadek dawno się już zdarzył... jeśli chodzi n.p. o język litewski. Wymyślił sobie takich kilka nowych czcionek wschodniopruski pisarz litewski Vydunas i tak drukował swe książki. I niech Pogan słucha: o tym samym pisarzu litewskim Vydunasie wykładano na uniwersytecie Witolda Wielkiego w Kownie corocznie pełny cykl p.t. „Vydunas", składający się z czterdziestu wykładów. Nie trzeba więc z propozycjami „czcionkowymi" igrać, bo wtedy dr. Spytkowski na serio się przerazi! Na obronę Pogana jednak mogę dodać, że pewne przyznanie się do „grzechów gwarowych" z jego strony, nastroiło mnie na pogodną nutę i dlatego przebaczam mu solennie te jego epitety o wywrotowcach, którzy piszą odwrotnie! Wypadałoby mi jeszcze zająć się artykułem Antoniego Urbana z Lutczy, ale na niektóre poruszone przez niego kwestie, już odpowiedziałem w polemice z innymi autorami. Stanowisko przeciwgwarowe Urbana jest wybitną antytezą tego, co sam stwierdzałem i badałem w innych odcinkach kraju. Być może, że Urban w kręgu własnych doświadczeń, nie przerastających swym zainteresowaniem jednego czy kilku powiatów Polski, rzeczywiście odniósł takie wrażenie i doszedł do wyników, które opisał czytelnikom „Wsi".

REGIONALIZM I PSEUDOREGIONALIZM.

Dotychczasowa polska twórczość literacka, pozostaje poza barierą regionalizmu, tak bardzo związanego z twórczością gwarową. Regionalizm w Polsce oddawna i do dziś dnia spychany jest na szlak wymiaru prowincjonalnego, dzielnicowego; wszelkimi środkami broniono mu dostępu w ogólnopolski prąd tworzenia. Tylko tu i ówdzie — jeśli mówimy o literaturze — udało się kilku pisarzom wedrzeć na pierwsze stopnie literatury ogólnopolskiej — ale i tam prędko zaczęto ich chrzcić mianem profanów. Natomiast szeroką falą wciekał do literatury narodowej niesłusznie pseudoregionalizm, łatwizna twórcza, przeplatanka gwarowa lub też gwara stylizowana. Tym pseudoregionalizmem cuchnie „Marcyna" Kędziory, szereg utworów Zegadłowicza, pseudogwara Gustawa Morcinka, jedna z książek Zofii Kossak-Szczuckiej, w której gwara cieszyńska jest kpiną z języka perskiego a nigdy gwarą cieszyńską i t.d.

(Dokończenie na str. 7-ej)

ADOLF OLECHNOWICZ

Jeden dzień w Uniwersytecie Ludowym

CZEGO BRAK W DYSKUSJI O TUL-u?

O Uniwersytetach Ludowych dużo się pisze, a niemal wszystko co się pisze i mówi to szukanie odpowiedzi na pytanie: jakie winny być Uniwersytety Ludowe? Odpowiedzi są różne, a nie rzadko — sprzeczne. Wniosek, że uniwersytet ludowy u nas jest, mimo tradycji, sprawą ciągle nową, szukającą formy, krystalizującą się. Dlatego dyskusja na temat: jakie winny być uniwersytety ludowe — ma swój sens, tylko wydaje mi się że najpierw należy zdawać sobie dokładnie sprawę z tego, jaki już jest dzisiaj uniwersytet ludowy, i wtedy dopiero zabierać się do jego udoskonalenia. Tymczasem zabiera głos wielu takich, którzy żywego uniwersytetu ludowego nie poznali i przez to wypowiedzi ich są akademickim tylko rozważaniem.

Uniwersytetów Ludowych w Polsce jest już dzisiaj 50 i ciągle liczba ich rośnie. I tak, jak zdania o istocie uniwersytetów ludowych są różne, podobnie rozmaite są istniejące już uniwersytety. Spróbujmy pokazać jeden z nich.

Oto dzień pracy i życia, dzień, który wspólnie ze słuchaczami i wychowawcami przeżyłem.

RANEK

Jest wczesne rano. W sypialniach internatu najpierw szmery, potem rozmowy — budzą się słuchacze. Jeden ubrany już i umyty czyta, inny, nucąc cicho, myje się jeszcze inny dopiero się budzi. Jak w domu, jak w rodzinie. Nie ma tu wojskowej pobudki i żołnierskiego tempa, nie ma koszarowych zwyczajów, chociaż łóżka, jak w koszarach, rzędem ustawione. Każdy wie, że o godz. 7.30 ma być w jadalni na śniadaniu i to wystarcza. W sypialni słuchaczek tak samo — uniwersytet ten jest koedukacyjny. Nie ma ściennego zegara, który umieszczony na widocznym miejscu, wskazywałby godzinę. Trzeba wyręczać się trąbką — oto głos jej rozpłynął się po gmachu. Znaczy to, że jest godzina 7.30. Wszyscy słuchacze i wykładowcy schodzą się do sypialni, stają wkoło, śpiewają.

„Pozdrawiajmy nowy życia dzień..."

Kończy się pieśń, mówią sobie „dzień dobry" i siadają do stołów. Po śniadaniu wstają, biorą się wszyscy za ręce i dziękują.

Chwila przerwy.

GODZINY WYKŁADOWE

Trąbka — godzina 8-ma. Słuchaczki i słuchacze wchodzą do sali wykładowej, siadają na ustawionych wokół ścian ławach. Ławy i nic więcej — nie przypomina to żadnej szkoły, raczej może — jakieś zebranie sąsiedzkie w dużej, schludnej izbie. Przed jedną ławą stół przykryty łowickim pasiakiem, za stołem, między słuchaczami, wykładowca.

Teraz słuchacze, wraz z wykładowcą śpiewają pieśń ludową. Wykładowca zaczyna mówić. Punktem wyjścia jest treść przed chwilą śpiewanej pieśni, prosta, ale jakże w życiu człowieka aktualna, jakże dla słuchaczy-chłopów bliska. Słuchacze, przeżywając treść słów wykładowcy, przenieśli się wyobraźnią na ziemię śląską, na ziemię, mimo niewoli, wiecznie polską, na ziemię polskiego czarnego diamentu. Oto obcują już ze śląskim pisarzem Gustawem Morcinkiem, oto rozmawiają, współżyją i współczują z twardymi jak ten czarny diament, polskimi górnikami. Osnową wykładu jest przeczytana uprzednio nowela Morcinka. Ale nowela jest tylko pretekstem dla wykładowcy, by wskazać elementy dobra, które jak u bohatera noweli, winny być drogowskazami uczciwego człowieka.

Chóralna pieśń na swojską nutę kończy wykład.

Była to lekcja z cyklu — „Literatura".

Po przerwie, inny już wykładowca, mówi z cyklu: „Dzieje życia i porządek w przyrodzie". Znów na wstępie śpiew. Wykładowca zaczyna słowami śpiewanej przde chwilą pieśni: „....błogosławiony chleb ziemi czarny..." Dalej cytuje Norwida „.... o kraju gdzie kruszynę chleba podnoszą z ziemi przez uszanowanie". Stawia słuchaczom przed oczami ich własną wieś, dom, ziemię rodzinną, ojca, dziadka, który nie przejdzie obojętnie obok kłosa leżącego na rżysku, tylko — mimo starości — schyla się i podnosi go. Oto życie człowieka, a zwłaszcza chłopa, jest związane z przyrodą. Dzięki rozumowi człowiek wykorzystuje przyrodę dla swojej wygody, umie uczynić, że daje ona to, co mu potrzeba. Oto zboże było ongiś w stanie dzikim, nie rodziło tak, jak dzisiaj. Człowiek przez ciągłe obcowanie ze światem roślinnym podpatrzył jego tajemnice. Zrozumiał, że roślina w zależności od warunków, może wyrosnąć bujnie, lub zmarnieć, może się doskonalić, a następnie doskonałe swoje cechy przekazywać potomkom. Trzeba przyrodę ukochać, poznawać. Przez poznawanie jej uczymy się życia.

Śpiew, przerwa.

Godzina następna — wykład z cyklu: „Dzieje chłopów". Za stołem staje trzeci wykładowca. Znów śpiewem rozpoczyna się wykład. Pieśń kończy się słowami:

„....sialiśma na cudzym, ruń nam rosła smętna;
będziem zbierać chleb na własnym — każde ziarno centnar".

Wykładowca wprowadza słuchaczy w czasy przeszłe. Nie zawsze było jak dzisiaj. Chłopi — praojcowie nasi — żyli wieki w niewoli, wieki całe „ruń im rosła smętna". Mimo niedoli, jaką znosić musieli, byli współtwórcami historii Polski, ale historii tej nie pisali i dlatego wielką pracę chłopów i zasługi ich albo świadomie pomijano, albo wpisywano na konto szlachty. Na podstawie źródeł historycznych daje wykładowca żywe przykłady z życia publicznego i prywatnego dawnych czasów. Słuchacze poznają ciężką dolę chłopów, przodków swoich, sprzed kilku wieków. Wykładowca zapowiada, że w wiekach następnych dola ta stawała się cięższa, że były zrywy chłopów celem zrzucenia jarzma niewoli, ale o tym będzie mówił na wykładach następnych. Godzina się kończy mocną chłopską pieśnią.

Między godziną 11—12 gimnastyka prowadzona systemem duńskim. Od godziny 12 do 13 czytanie literatury pięknej poprzedzone i kończone śpiewem — tak samo jak wykłady.

Na tym kończyły się zajęcia przedpołudniowe.

ZAJĘCIA POPOŁUDNIOWE: DYSKUSJA

Zanim przejdę do zajęć popołudniowych chcę wyjaśnić; po pierwsze — że cykle wykładów, które wyżej wymieniłem, nie powtarzają się co dnia. W programie są takie cykle: Literatura piękna, Dzieje życia i porządek w przyrodzie, Historia, Rodzina, Historia sztuki, Kultura ludowa, Socjologia wsi, Gospodarstwo społeczne, Spółdzielczość, Ustroje państw, Zdrowie i in.

Po drugie — w czasie wykładów nikt ze słuchaczy nie robi zapisków, nie stawia pytań. Notować może kto chce, ale po wykładzie, zaś pytania i dyskusja nad zagadnieniami poruszonymi w wykładach odbywa się po południu na specjalnej godzinie dyskusyjnej.

Między godziną 13 a 15 — obiad. Słuchacze i wykładowcy wstając od stołu, tak jak i po śniadaniu, biorą się za ręce tworząc w ten sposób zamknięte koło, ściskają sobie wzajem dłonie ze słowami „dziękujemy" i rozchodzą się.

Od godziny 15—17 zajęcia dyskusyjne. Zajęcia te prowadzą sami słuchacze. Po kolei — jeden ze słuchaczy przewodniczy i jeden protokółuje. Wykładowcy są teraz na prawach słuchaczy. Tematem dyskusji bywa: a) krótki referat jednego ze słuchaczy; tematy referatów ustalają słuchacze wspólnie, następnie między sobą je rozdzielają i opracowują; b) któryś z wykładów przedpołudniowych tego dnia lub poprzednich; c) gazeta mówiona, lub jakiś artykuł z prasy; d) film, sztuka teatralna, koncert, zwiedzenie fabryki, czy jakaś inna impreza, na której słuchacze wspólnie byli (Uniwersytet znajduje się obok wojewódzkiego miasta). Wykładowcy zazwyczaj zabierają głos w dyskusji ostatni, reasumując wypowiedzi. I teraz, jak przed południem, zaczęło się śpiewem i śpiewem się kończy.

INSCENIZACJA

Od godziny 17 do 19 zajęcia teatralne. Oto biorą popularną pieśń ludową: „Miał stary ojciec trzy córy" i przekształcają ją na obraz sceniczny. Ten teatr z pieśni — prosty i szczery — silnie przemawia do chłopskiego widza, że może rzadko teatr zawodowy tak przemówić potrafi. Jednak wcale nie jest to łatwe. Trzeba specjalnego talentu, żeby z pieśni zrobić sztukę. Łatwo o parodię — bo inscenizacja wymaga umiaru, wyczucia, subtelności. Uniwersytet ludowy, o którym mowa, ma taką siłę; dzięki niej właśnie praca teatralna ma tu charakter oryginalny i sięga wysokiego poziomu.

Od godziny 19 do 20 jest wieczerza, a od wieczerzy aż do spoczynku najczęściej są zajęcia indywidualne: ciche czytanie książek, czasopism, pisanie listów, artykułów do ściennej gazetki, robienie wycinanek, szycie kostiumów teatralnych itp.

Potem ostatni wspólny śpiew:

„A już dobranoc..." i spoczynek.

Tak wyglądał jeden dzień pracy, przy tym zwracam uwagę, że nie jest on specjalnie wybrany, po prostu dzień, jaki się trafił. Dnie są podobne, ale bywają inne. Oto zdarza się, że oprócz trzech stałych wykładowców, przyjedzie z wykładem ktoś nowy, że wypadną imieniny któregoś ze słuchaczy, czy wykładowców, że przypadają święta doroczne lub okolicznościowe, że się na popołudnie któreś zejdą sąsiedzi z okolicznych wsi — te i tym podobne okoliczności wpływają na treść i formę pracy i życia uniwersytetu ludowego w takim „innym" dniu.

CZY UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH JEST ZA DUŻO?

Powiedziałem na wstępie, że uniwersytetów ludowych w Polsce jest już 50 i, że liczba ta stale rośnie. Niektórych to niepokoi, bo to szybkie rozrastanie się, twierdzą, obniży poziom uniwersytetów. Być może. Ale z drugiej strony pomnażanie uniwersytetów ludowych ma i dodatnie strony. Cóż z tego, że mielibyśmy bardzo dobre uniwersytety ludowe, ale tylko kilka. Te parę ognisk miałyby znikomy wpływ na kilkunasto milionową całość chłopów. Na minimalny rezultat trzeba byłoby czekać kilkadziesiąt lat. Słuchacze tych paru uniwersytetów byliby ciągle w stosunku do wielkiej rzeszy chłopów, kroplą w morzu. Trzeba dbać o poziom uniwersytetów ludowych, trzeba strzec istotnego ich sensu, ale wydaje mi się, że trzeba wszystko zrobić, żeby sieć uniw. lud., objęła całą Polskę, żeby chłop z przesłuchanym unik. lud. nie był, jak dotychczas bardzo rzadkim wyjątkiem. Gdyby Duńczycy ograniczyli się tylko do paru uniwersytetów ludowych, gdyby, bojąc się obniżenia poziomu i zatraty istoty uniwersytetów, nie poszli na zwiększenie ilości, nie osiągnęliby takich rezultatów — tak wspaniałych przemian człowieka i życia w całym swoim kraju.

Jakość uniwersytetów ludowych zależy od ludzi, którzy go prowadzą. Odpowiednich ludzi brak, to jest największa trudność z którą uporać się nie może Ogólnopolskie Towarzystwo Uniwersytetów Ludowych. Na wszystkich konferencjach uniwer. lud. potrzeba wykładowców była dominującą i właściwie, mimo różnych projektów, w dalszym ciągu nie zaspokojoną.

Tymczasem życie nie czeka — liczba uniwers. lud. wzrasta i jacyś ludzie muszą w nich pracować i, jak umieją, pracują. To jest może nienajgorsza droga. Tym sposobem wypracuje się naturalny, właściwy typ polskiego uniwerstytetu ludowego. Ale żeby ten proces przyśpieszyć należałoby dążyć, aby każdy wykładowca nie ograniczył się wyłącznie do swojego uniw. lud. tylko żeby poznał jak najwięcej innych uniw. lud. To samo dotyczy i kandydatów na wykładowców — niech taki kandydat przebędzie w kilku uniwersytetach np. po miesiącu i to da mu (na pewno) więcej, niż jakiś kurs. Rozmawiałem z początkującym wykładowcą, który przed przystąpieniem do pracy był na konferencjach pracowników TUL, przeczytał dużo o uniwersytetach, rozmawiał dużo z długoletnimi pracownikami i powstał z tego wszystkiego mętlik w głowie. Dopiero kiedy znalazł się w uniwersytecie przyjrzał się bezpośrednio pracy wykładowców z praktyką, stanął wobec trudności wykładania i zaczął je przełamywać, dopiero wtedy zaczęło mu się wszystko jasnym stawać, zaczął rozumieć o co idzie i zaczął się właściwie przysposabiać do tej pracy.

DYSKUSJA DOTYCHCZASOWA BYŁA MAŁO RZECZOWA: BRAK OPISU

I oto nasz obowiązek: pisać.

Spróbowałem tutaj opisać jak wygląda jeden dzień w pewnym uniwer. ludowym. W innym może wygląda inaczej — opisać, zwłaszcza pokazać i uzasadnić różnice. Słyszałem, że w jakimś uniwer. lud. prowadzi się skrzynkę listów i zapytań — opisać, jak to wygląda. W niektórych uniwer. lud. są sklepy duńskie bez sklepowego — jak to idzie? Jakie są programy w poszczególnych uniwer. ludowych (cykle wykładów) i jak się je realizuje — możliwie szczegółowo, osobno o każdym przedmiocie, czy wykładowcy (może anonimowo, nie wymieniając wykładowcy, ani UL), idzie tu o obiektywną krytykę. Oprócz wykładowców stałych, są w uniwer. lud. wykładowcy dojeżdżający — jaki z nich pożytek, co szwankuje? Niektóre uniwer. lud. redagują gazetkę ścienną, inni — mówioną; niektóre dużo uwagi poświęcają współpracy i współżyciu chłopów ze światem robotniczym, współżyciu z miejscowymi ludźmi. A koedukacja w uniwersytetach ludowych, a samorząd słuchaczy, lokalne Towarzystwo Uniwersytetu Ludowego?

O tym wszystkim trzeba pisać. Nie zamykać się, nie izolować się, tylko jak najszybciej opowiedzieć o swojej pracy innym: bo może jedni głowią się nad czymś, do czego inni dawno już doszli, może marnują czas i siły aby wyważyć drzwi otwarte. Ale pisać rzetelnie, tak, jak jest, nie ukrywając błędów i niepowodzeń.

Robić i pisać, pisać i robić — to przyśpieszy doskonalenie się wykładowców, ułatwi wypracowanie najlepszej metody oraz odnalezienie właściwego typu uniwersytetu ludowego w Polsce.

Pogańska herezja

(Dokończenie ze str. 6-ej)

Potworzyło się w Polsce wiele szkół i szkółek poetyckich o dziwnych programach importowanych z zagranicy — z przeoczeniem polskiego regionalizmu i polskich gwar ludowych, z których powinien był wyrość nie jakiś pół francuski i ćwierć indywidualno-jednostkowy ruch awangardy, czy niewiarą zalatujący autentyzm — lecz nowy ożywczy zryw polskiej twórczości ruralistycznej: wiejskiej prozy i wiejskiej poezji! Lecz już dziś, powoleńku przetacza się zwrotnica i w dziejach literackiej twórczości polskiej. Na scenę wychodzą coraz gęściej i coraz częściej rustykalni mówcy, wyczuwający podświadomie jeszcze instynktownie czar językowego tworzywa spod chłopskich chałup, które trzeba przetopić i uszlachetnić, aby wielką siejbą rzucić go w ów wielki korzec słowa polskiego, mowy narodu!

To, co dzisiaj jest u nas dyskutowane na temat gwarowości, na temat regionalizmu i powiązania kultur dzielnicowych w jeden wspaniały i barwny snop kultury ogólnonarodowej, dyskutowane jest także indziej i dalej. Tylko brak dopływu słabo do nas cieknących wieści, nie zezwala nam na dokładne zorientowanie się w przełomach kulturalnych, jakie zachodzą i u innych narodów. Właśnie przede mną leży zeszyt obcojęzycznego czasopisma literackiego, gdzie zamieszczono wygłoszony w Londynie odczyt w marcu 1945 roku (T. S. Eliot: Kulturalna różnorodność i europejska jedność). Odczyt ten osobliwie harmonizuje z wszystkim, co powiedziałem wyżej o regionaliźmie i gwarach u nas, choć omawia te sprawy ze stanowiska regionalizmu angielskiego i ogólnie europejskiego. Chcę na zakończenie przytoczyć urywki z rozmowy, jaką na te tematy prowadziłem w początkach roku 1939 z nieżyjącym dzisiaj Karolem Irzykowskim w czasie jego pobytu w Cieszynie. Ale o tym innym razem — chyba aż w replice, bo czuję że gromy bić będą przeciwko mej pogańskiej herezji!

FAKTY I ZDANIA

O TAK ZWANYCH AUDYCJACH DLA WSI

Szanowna Redakcjo!

Jako „prawdziwy" chłop (nie tylko z urodzenia ale z poczucia łączności kulturalnej) chciałbym tą drogą zwrócić uwagę na stałe tzw. audycje radjowe dla wsi.

Są audycja dla młodzieży szkolnej, dla żołnierzy, Polaków z zagranicy, dla dzieci, rozumiem potrzebę i konieczność takich audycji. Wszakże nie słyszałem jeszcze audycji „dla miasta". Dlaczego więc bjedna, daleka egzotyczna wjeś jest tak honorowana, że w programie polskjego radia przeznacza jej się co pewien czas skromny, kilkkunastominutowy kącik, nazwany szumnie „audycją"? Czy dlatego, że na wsi przeważnie nie ma aparatów radiowych? A kiedy wjeś polska zradjofonizuje się, (oby jak najprędzej), czy i wtedy słuchać będzie tylko specjalnych audycji dla niej poświęconych?

Co jest treścią owych wiejskich słuchowisk I kogo one przede wszystkim mogą interesować? Składają się one przeważnie z dwóch części: jakjegoś mniej lub więcej udanego słuchowiska, którego tematem jest wycinek z życia wiejskiego, bohaterowie oczywiście chłopi mówiący gwarą, ogólna tendencja utworu wyraźnie propagandowa — satyryczna, w części drugiej na osłodę odegrany z płyt jakiś taniec lub pieśń ludowa.

Oto krótka treść jednej z takich audycji. Bogaty i dobrze zaopatrzony w zboże i tłuszcze chłop nie rozumie konieczności wywiązywania się ze świadczeń rzeczowych. Nie oddaje żadnego kontyngentu. Gdy zawiodły wszystkie sposoby komitet świadczeń wysyła do naszego bohatera delegata, który zawozi go do pobliskiego miasta. Tam nasz chłop widzi nędzę mieszkania robotniczego (dziecko, daremnie ssie suchą pierś matki, stara babka zbiera na objad napół zgniłe ziemniaki i robotnik — bohater pracujący prawie za darmo.., dla Polski). Wzruszony i upokorzony chłop wraca czemprędzej do domu i nie tylko oddaje to, co mu naznaczono, ale cały nadmiar zboża i tłuszczu.

Wszystko było by dobrze, gdyby nie występujące, zresztą wbrew woli autora i reżysera, w tego rodzaju audycjach niebezpieczeństwo pewnej symboliki, uogólnienia. Słuchający chłop mimo woli widzi w audycji krytykę postawy c a ł e j wsi a nie pewnych tylko jednostek. Sąd ten wypływa właśnie z naiwnego potraktowania tematu i chłopa wogóle. Powiedzenia chłopa, jego sposób myślenia są tak naiwne, że budzą tylko niesmak. Nie zawsze trafna interpretacja głosowa aktorów (wymagająca dużo uwagi właśnie przy gwarze) pogłębia owo niezrozumienie między autorem a słuchaczem.

W tej chwil stanowią te wiejskie audycje rozrywkę tylko dla miast. Wieś z powodu braku radioodbiorników z nich nie korzysta. I nie występuję tu przeciwko samym słuchowiskom rozrywkowo - dydaktycznym, przedstawiającym te czy inne sceny z życia wiejskiego lub miejskiego. Występuję natomiast przeciw wydzielaniu w programie radiowym specjalnego kącika „dla wsi". To upakarza. Sądzę, że weś polska dojrzała na tyle, aby z programu radowego mogła dla siebie wybierać to, co ją interesuje. Jest rzeczą dyrekcji wpleść w ten program i pogadankę naukową i rolniczą, i słuchowisko pouczające, i koncert, i poezję. Wieś nie potrzebuje kącików — wsi niech służy radio dzień i noc.

Mieczysław Pawlicki
powiat Pińczów

List ob. Stanisława Pawlickiego przedrukowaliśmy w całości, sądząc, że stanie się on, zwłaszcza wśród działaczy terenowych i kierowników świetlic, bodźcem do nowych wypowiedzi na poruszone tematy.

Zgadzamy się z autorem dzisiejszego listu, kiedy mówi o skasowaniu „Kącika dla wsi". Sądzimy jednak, że dotychczasowy program uwzględniał w dużej mierze potrzeby kulturalne wsi. Jest rzeczą organizacji kulturalnych wiejskich, aby pod adresem Polskiego Radia nadsyłały projekty i propozycje programowe. Przykładem takiej inicjatywy niech będzie Oddział Wiejski ZZLP i redakcja „Wieś" — które co dwa tygodnie mają zarezerwowane dla siebie miejsce na audycje „twórczości literackiej chłopskiej".

TRZECIA AUDYCJA „TWÓRCZOŚCI CHŁOPSKIEJ"

W dniu 16.1. br. o godz. 19.15 została nadana przez radiostację łódzką w programie ogólnopolskim trzecia skolei audycja z cyklu „twórczość chłopska", poświęcona Pawłowi Kubiszowi. Po odczytaniu wprowadzającego fragmentu z wiersza „Był we Frydku, był grof srogi" — Stefan Lichański omówił twórczość Pawła Kubisza. Następnie Zygmunt Stolarski recytował wiersze: „Co to młody gorol prawił, jak mu sie na śmierć niesło", „Rebelija Goroli w Mostach" (fragment) i „W Gutach jest muzyka".

Następna audycja z tego cyklu zostanie nadana w środę, dnia 30. 1. br. w programie ogólnopolskim o godz. 22,30 i poświęcona będzie twórczości Jana B. Ożoga (w związku z ukazaniem się tomiku wierszy p. t. „Kraj" tego poety).

ROCZNICA

Dnia 23 stycznia mija smutna rocznica napadu Czechów w 1919 roku na Zaolzie.

Przy tej okazji chcieliśmy stwierdzić jedynie, że nie hasła, a czyny stanowią o prawdziwej demokracji. Jeśli Rząd Polski i i całe społeczeństwo uznało prawa republik: litewskiej, białoruskiej i ukraińskiej do Ziem Wschodnich wchodzących w skład przedwojennej Rzeczypospolitej – i dlatego uznało – bo ziemie te od wieków były i są zamieszkałe przez ludność nie polską, jeżeli Polacy pogodzili się z tym stanem rzeczy, mimo iż wraz z ziemiami tymi odpadły od Polski tereny bogate w naftę, – to taką postawę nazwać można demokratyczną.

Polska nie utraciła nic dzięki takiemu stanowisku – przeciwnie, zyskała coś więcej niż naftę – zyskała prawdziwą szczerą przyjaźń i wdzięczność bratnich narodów słowiańskich.

Jesteśmy sprawiedliwi dla siebie – ale chcemy, żeby ta sprawiedliwość objęła wszystkich. Pragniemy, by naród czeski zajął w sprawie polskiego Zaolzia tak demokratyczną postawę, na jaką zdobył się nasz naród w stosunku do bratnich narodów – ukraińskiego i białoruskiego.

Wtedy nic nie stanie już na przeszkodzie prawdziwie szczeremu naszemu do Czechów stosunkowi.

CO SIĘ DZIEJE Z PRZEMYSŁEM LUDOWYM?

Siedziba zakopiańskiego przemysłu domowego są wsie leżące koło Zakopanego. Samo Zakopane jest rynkiem zbytu lub miejscem „odstawy". Poza tym znajduje się w Zakopanem szkoła kilimiarska i koronkarska dla dziewcząt oraz szkoła i warsztaty szkolne dla rzeźbiarzy, stolarzy, cieśli, kowali a nawet zegarmistrzów.

Wsi leżące bezpośrednio u stóp Tatr jak Bukowina, Kuźnice, Jaszczurówka albo w pobliżu Zakopanego przy wygodnej szosie korzystaja ze wzorów miejskich. Inaczej jest we wsiach położonych za Gubałówką, odciętych od głównej szosy. Wsie te są bardzo ciekawe, gdyż w nich zdobnicza sztuka ludowa pozostała wierna dawnym tradyciom.

Wieś Kościelisko, Olcza, Poronin oraz Bukowina są największymi ośrodkami chałupnictwa. Dziewczęta z tych wsi najliczniej odwiedzają szkołe koronkarska. Jak wiadomo, szkoła wyrobu koronek i haftów w Zakopanem została założona w roku 1882 przez artystkę sceniczną Helene Modrzejewską.

— Klockowe koronki — kto by ich nie znał. Są i tacy, którzy pamietaja jeszcze te dawniejsze, przepiękne i delikatne koronki z alabastrowo - białych lub jasno szarych nici lnianych. Koronki, jakimi zdobiła kiedyś swoje suknie znakomita artystka sceniczna Helena Modrzejewska, założycielka szkoły koronkarskiej. Te koronki, chusteczki oraz serwetki, jak również ciupagi, wykonywane przez uczniów szkoły przemysłu drzewnego, były pamiątkami, które chetnie kupowali letnicy i kuracjusze podczas pobytu w Zakopanem w czasach Tytusa Chałubińskiego, Heleny Modrzejewskiej, dyrektora Neużyla i pierwszego proboszcza ks. J. Stolarczyka. Te koronki współzawodniczyły nawet z koronkami brukselskimi; otrzymała szkoła zakopiańska za klockowa serwetke pierwsza nagrodę na wystawie w Paryżu.

— Indie — Bombai — maharadża — to dla dziewczynek, „koronkarek" nazwy i pojęcia tak oddalone — a jednak wykonywały „koronkarki" robótki na zamówienie z tej egzotycznej krainy. — Zakopiańska szkoła koronkarska otrzymała za pośrednictwem Komitetu Propagandy w roku 1938 zamówienie na serwetki stołowe dla żony maharadży. Wykonane zamówienie zostało 16 maja 1938 r. odesłane do Bombaju. Było to stołowe nakrycie na 48 osób, wykonane z podhalańskich samodziałów, płótna, z koronkami koloru szarego i w dwu kolorach niebieskich.

Podczas niemieckiej okupacji musiała szkoła swoje wyroby oddawać władzom niemieckim, to znaczy, że zabierali je łapczywi „dygnitarze" i wywozili. „Koronkarki" były nawet od przymusowych robót zwolnione, by mogły jak najwięcej robótek wykonać.

Po ukończeniu kursów koronkarstwa, haftu lub robót kilimiarskich niektóre dziewczęta pracuja w szkolnym warsztacie za wynagrodzeniem, reszta pozostaje nadal w kontakcie ze szkołą i otrzymuje ze szkoły materiał (nici, bawełnę, płótno, wełnę) i wykonuje roboty na zamówienie dyrekcji.

Koronki, serwetki, nakrycia, czy kołnierze do sukienek, robi się z lnianych, jasnych lub kolorowych, według oryginalnych góralskich, albo artystycznych stylizowanych wzorów. Obecnie trudne sa do nabycia cienkie, jasne lniane nici, wyrabia sie wiec klockowe robótki przeważnie z szarych grubszych lnianych nici. Uprawą lnu, jak i przędzeniem, zajmują się dziewczęta wiejskie za Gubałówką. Te szare lniane nici farbuje sie w szkole na różne trwałe kolory.

Oprócz domowego wyrobu koronek, kilimów, płótna, sukna i samodziałów ubraniowych rozwija sie rzeźba w drzewie. Inne gałęzie przemysłu domowego jak robienie lalek regionalnych, haftów na płótnie i suknie, wyroby skórzane podupadły za czasów okupacji i dopiero zaczynają sie rozwijać na nowo.

ROZSZUMIAŁY SIĘ WIERZBY

Pod takim tytułem wyszła z druku nakładem Wydziału Oświaty Rolniczej Wojew. Urzędu Ziemskiego w Łodzi (ul. Traugutta 14) sztuka sceniczna w 4 odsłonach Adama Szczerbowskiego, przeznaczona dla wiejskich zespołów teatralnych.

W sztuce występują chłopi, młodzież wiejska, partyzanci.

Zamawiać i nabywać można pod podanym wyżej adresem w cenie 25 zł. (z przesyłką 30 zł.) za egzemplarz.

Pieniądze wpłacać na konto PKO Łódź Nr 801 lub przekazem pocztowym.

L.I.L.N. DZIAŁA

L U D O W Y I N S T Y T U T L I T E R A C K O - N A U K O W Y
oraz
Sekcja Kulturalno - Oświatowa Stow. Młodzieży „Wici"
urządza w sobotę, dnia 12 stycznia o godzinie 16,30 w sali świetlicowej „Wici" w Solicach-Zdroju przy ul. Kolejowej 27

WIECZÓR POETYCKI

Udział biorą: **Mrozowski Wacław, Skoneczny Stanisław, Wierciński Jan.**
W programie: referat o poezji współczesnej, recytacje utworów własnych w wykonaniu autorów oraz aktorów Sekcji Dramatycznej.

— taki afisz wraz z zaproszeniami oraz listami otrzymaliśmy od naszych kolegów: Skonecznego i Mrozowskiego z Solic-Zdroju na Dolnym Śląsku.

Ów skromny wieczór poetycki jest pierwszą jaskółką działalności Ludowego Instytutu Literacko - Naukowego, powstałego we wrześniu 45 r. z inicjatywy redakcji „Wsi". Instytut jest pomyślany na wielką skalę. Zadania ma rozległe: kształcenie młodych talentów wiejskich, wydawanie publikacji literackich i naukowych związanych ze wsią, stworzenie teatru objazdowego dla wsi, urządzanie imprez artystycznych.,. Nie wszystkie te zadania można już zrealizować, nie mniej osiągnięto do tej pory wiele. Dom wypoczynkowy dla pisarzy chłopskich stoi otworem przed spragnionymi spokoju do twórczej pracy literatami. Majątek rolny, obsiany i zagospodarowany, przygotowany jest na zaspokojenie ich potrzeb. W toku są pertraktacje o przejęcie drukarni. Po tym wstępnym okresie LILN przygotowuje się do rozwinięcia ożywionej działalności.

Trzeba do tego ludzi...

Poeta Stanisław Skoneczny, który od miesiąca osiadł w domu wypoczynkowym, pisze do nas:

„Można tu pisać. Trzeba tu ludzi, ale odpowiednich, którzy by się cali oddali sprawie. A warto... Powiedzcie u was ludziom, że tu można się wżyć szybko i naprawdę dać z siebie dużo, i stworzyć warunki do pracy odpowiednie. A zwłaszcza początkujący którzy gdzieś po wsiach borykają się z niewygodami".

A Wacław Mrozowski:

„W tej chwili mam w próbach „Przepióreczkę" Żeromskiego z Wiciowcami. Praca wdzięczna, ludzie chętni i zdolni. Jeszcze raz: trzeba tu ludzi, ludzi, ludzi..."

Niech te dwa głosy mówią same za siebie.

Apelujemy na tym miejscu do wszystkich chłopskich pisarzy, do młodzieży wiejskiej, pragnącej się uczyć i pisać, aby nadsyłali zgłoszenia współpracy z Instytutem. z. s.

Nr 1 „WSI" ZAWIERAŁ:

Jan Aleksander Król: „Oda do młodości"; **Jan Bolesław Ozóg:** Robotnicy. **Stanisław Nędza-Kubiniec:** Janosik. **Stanisław Piętak:** O Nędzy-Kubińcu słów parę. **Kazimierz Budzyk:** Lekkomyślna dyskusja na poważny temat. **Julja Hartwig:** Na wsi. **Artur Sandauer:** O literaturze gwarowej. **Leon Sobociński:** Janko. — ryzykant. **Lesław M. Bartelski:** Elegia. **Anna Kamieńska:** Proza poetycka. **Wojciech Natanson:** „Lidowa sujta". **Ryszard Matuszewski:** Poezja wiejskiego krajobrazu i sielanki (o wierszach Józefa Stachowskiego). **Józef Stachowski:** Niedziela, Wieś Marysi, Modlitwa. **Teodor Goździkiewicz:** Przemiany. **A. Junosza-Gzowski:** List do Redakckji. **Józef Pogan:** Niebieski dekret. **Jan Wiktor:** Zagadnienie literatury chłopskiej. **Lech Budrecki:** Kłopotliwe pytanie. **Stanisław Piętek:** Pomyłki Juliana Przybosia Dyskuksja: Kto jest „Chłopem?". **Zygmunt Kałużyński:** „Biedny i bogaty" Józefa Pogana. Nowe drogi. **Czesław Garda:** Płaskorzeźba Pani Wirskiej. **Jarosław Janowski:** Zdławionym szeptem. „Wieś" zagranica i w kraju. O sztuce stawania na głowie.

NUMER 2 „WSI" ZAWIERAŁ:

Jan Aleksander Król: „One wiele dobrego zdziałały". **Antoni Stopa:** Rok 1896. **Kachna Łeczynianka - Lesiowska:** Z cyklu „Kamienne wiersze". **Jarosław Janowski:** „Masław" Zawieyskiego — między legendą a rzeczywistością. **„Piotr Wyrobek:** Antoni Stopa. **Stanisław Jucha i Zdzisław Jerzy Kempf:** Dyskusja o gwarze. **Stanisław Piętek:** Sandomierskie w kwietniu 1945 r. **Zygmunt Sierp:** Pasłem krowy. **Józef Andrzej Frasik:** Poeta demokracji. **Teodor Goździkiewicz:** Ziele w ogrodzie. **Maciej Czuła:** Pisarze ludowi byli dziennikarzami. **Ker:** Za sąsiedzką miedzą. Z ludowej poezji bułgarskiej — wiersze Iwana Wazowa i Lemara w przekładzie **Zdzisława Jerzego Kempfa. Zygmunt Kałużyński:** Fikcyjna rozmowa o Nędzy-Kubińcu. **Mieczysław Czcibor-Cholewa:** Jak Józek Wołoscyk ugwarzował z Pane Jezuse. **Edward Marzec:** Strony świata. **Ludwik Brożek:** Z pogranicza. **Władysław Leszczyński:** „Z ziemią związany". **Stanisław Ehrlich:** Kok-Sagiz. **Jan Krokwia:** List do Redakcji.

W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH: TEATR OBJAZDOWY LEONA SCHILLERA

Reportaż J. Wyszomirskiego, współpracownika i uczestnika „Teatru Ludowego im. Bogusławskiego", sceny objazdowej zorganizowanej przez L. Schillera. Teatr ten dał w środowiskach polskich na terenie okupacji anglo-amerykańskiej szereg przedstawień, poświęconych samorodnej twórczości chłopskiej.

SPROSTOWANIE

W ostatnim (2-gim) N-rze „Wsi" opuszczono pomyłkowo nazwisko autora sprawozdania z z „Masława", Jarosława Janowskiego.

REDAKTOR NACZELNY: Jan Aleksander Król. — KOMITET REDAKCYJNY: Kałużyński Zygmunt, Kubicki Marian, Morton Józef, Ozga-Michalski Józef, Olcha Antoni, Piętak Stanisław. KOMITET TERENOWY: Frasik Andrzej, Nędza-Kubiniec Stanisław, Kubisz Paweł.

REDAKCJA: Łódź, Piotrkowska 96. Wydawca: Wydział Wydawniczy Z. S. Chł. w Spółdz. wydawniczej „Czytelnik".

D—06544 Drukarnia Nr 4, Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik", Łódź, Żwirki 2.